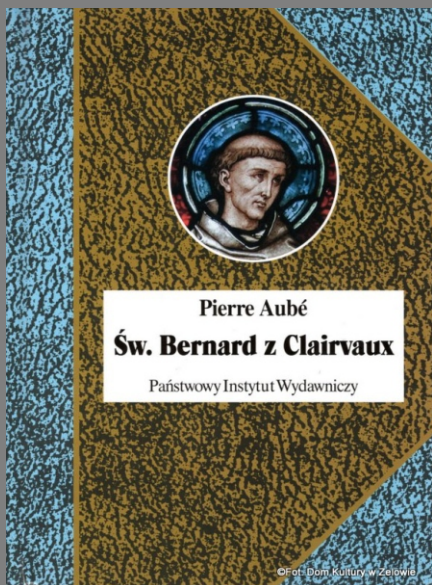




Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXXI Nr 3(355) Żelów, marzec 2026

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Kazimierza Balawejdera, Moniki Banaś,
Kasi Dominik, Marceliny Koncewicz, Marcina
Kurcbucha, Anny Partyki-Jurgi, Juliusza Wątroby
Andrzej Dębkowski – *Między kłozardem
a Marią Szaloną*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia
codziennosci* (233)

Stefan Jurkowski – *Sentymenty i złośliwości*

Joanna Friedrich – *Everyday is Christmas,
evernight is New Yer.*

Andrzej Walter – *Mały brat prowokator oraz
Słowa... Słowa... Słowa...*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (78)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz
był kosmitą?* (8)

Mirosław G. Majewski – *Buszujący
w antykwariatach* (10)

Piotr Prokopiak – *Schulz i Witkacy: intrygujący
dyskurs odrębnych światów*

Andrzej Gnarowski – *Na drugą stronę Błękitu...*
(wspomnienie pośmiertne)

Rafał Nowocień – *Mistrz uczy się od nowa*

Małgorzata Kulisiewicz – *„Matczyzna” i Jung*

Janusz Ziarnik – *Głupie elity?*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. ©Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarł Edward
Linde-Lubaszewski

8 lutego 2026 roku zmarł **Edward Ryszard Linde-Lubaszewski** – polski aktor teatralny i filmowy, reżyser teatralny, pedagog, profesor sztuk teatralnych.

Urodził się 23 sierpnia 1939 w Białymstoku. Po maturze (1956) studiował przez trzy lata we wrocławskiej Akademii Medycznej. Zostałby lekarzem, gdyby nie działalność w studenckim Teatrze Kalambur. W latach 1963-1964 był związany z Teatrem Dramatycznym we Wrocławiu, gdzie wystąpił w roli Joe Blessinga w sztuce *Autobus do Montany* Williama Inge'a (1964) w reż. Jerzego Hoffmana i jako dowódca patrolu pruskiego w *Popiołach* Jerzego Broszkiewicza (1964) w reż. Marii Straszewskiej. W 1963 zdał aktorski egzamin eksternistyczny. W latach 1964-1965 występował w Teatrze im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim, a w latach 1965-1966 w Teatrze Ziemi Opolskiej. W 1977 roku ukończył studia na Wydziale Reżyserii Dramatu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, z którą w 1981 związał się jako nauczyciel akademicki. Był wykładowcą i dziekanem Wydziału Aktorskiego uczelni (1987-1990). W 1991 uzyskał stopień profesora sztuk teatralnych.

Przełom w karierze scenicznej zawdzięcza Wrocławskiemu Teatrowi Współczesnemu (1967-1973), gdzie zagrał główne role w dwóch głośnych przedstawieniach Jerzego Jarockiego: *Stara kobieta wysiaduje* Tadeusza Różewicza (1969) w roli kelnera i *Patronoster* Helmuta Kacza (1970) w roli ojca. W latach 1973-2004 był związany ze Starym Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie, jako aktor, a także reżyser. Ze Starym Teatrem współpracował również w późniejszych latach. Występował m.in. w *Procesie* Franza Kafki, *Sklepiech cynamonowych* Bruno Schulza, a także w *Wyzwoleniu* Stanisława Wyspiańskiego. W 1989 „Trybuna Ludu” przyznała mu nagrodę za kreacje sceniczne i filmowe oraz działalność społeczno-polityczną i pedagogiczną. Występował także m.in. w Teatrze Nowym w Krakowie.

Na ekranie debiutował w roli dziennikarza w dramacie psychologicznym Kazimierza Kutza *Ktokolwiek wie...* (1966). Rozpoznawalność zapewniła mu rola doktora Romana Bognara w medycznym serialu telewizyjnym Andrzeja Titkowskiego *Układ krążenia* (1977-1978). Na przestrzeni lat zagrał w ponad 70 filmach, ponad 110 przedstawieniach teatralnych i ponad 80 spektaklach teatru telewizji. Rozpoznawalność i popularność przyniosły mu role w filmach takich jak *Psy*, *Róża*, *Kroll*, *Lista Schindlera*, a także w komediach reżyserowanych przez swojego syna Olafa – *Poranek kojota*, *Sztos*, *Chłopaki nie płaczą*, *E=mc²*. W późniejszych latach swojej kariery był również znany z ról w popularnych serialach obyczajowych.

W latach 1994-1997 był przewodniczącym zarządu krakowskiego Oddziału ZASP. Pełnił też funkcję rektora Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia w Warszawie.

Ostatni raz na scenie pojawił się 21 września 2025 roku w Teatrze Narodowym w Warszawie, gdzie wcielił się w Stańczyka w *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego. 14 grudnia tego samego roku poinformował o zakończeniu kariery aktorskiej.

Fot.: https://pl.wikipedia.org/wiki/Edward_Linde-Lubaszewski

Nie żyje Bożena Dykiel



Nie żyje **Bożena Dykiel** – jedna z najbardziej rozpoznawalnych i cenionych aktorek polskiego kina, teatru i telewizji. Artystka zmarła 12 lutego 2026 roku w wieku 77 lat.

Bożena Dykiel urodziła się 26 sierpnia 1948 roku w Grabowie koło Kolna. Była absolwentką Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Już w czasie studiów występowała w Studenckim Teatrze Satyryków, a po ich ukończeniu związała się z Teatrem Narodowym w Warszawie, który stał się jednym z najważniejszych miejsc jej rozwoju artystycznego. W teatrze przeszła do legendy m.in. rolę Goplany w „Balladynie” Juliusza Słowackiego w głośnym, rewolucyjnym spektaklu reżyserowanym przez Adama Hanuszkiewicza.

Filmowy debiut Bożeny Dykiel przypadł na lata 70. Jedną z jej pierwszych ról była postać autostopowiczki w filmie *Uciec jak najbliżej*. Szybko zyskała opinię aktorki wyrazistej, obdarzonej silnym temperamentem i niezwykłą umiejętnością łączenia dramatyzmu z komediowym wyczuciem. W kolejnych latach regularnie pojawiała się w filmach i produkcjach telewizyjnych, budując pozycję jednej z najważniejszych aktorek swojego pokolenia.

Występowała u najwybitniejszych reżyserów polskiego kina. Grała m.in. w filmach Andrzeja Wajdy: *Wesele*, *Ziemia obiecana*, *Człowiek z żelaza* oraz *Wielki Tydzień*. Publiczność zapamiętała ją także z ról w *Przesłuchaniu* Ryszarda Bugajskiego, *Brunecie wieczorową porą*, *Awansie* Janusza Zaorskiego, a także z filmów Stanisława Barei, Marka Koterskiego (*Dzień świra*), Jerzego Hoffmana i Romana Załuskiego. Jej kreacje wyróżniały się intensywnością emocji, autentycznością i niepowtarzalną energią.

Ogólnopolską popularność przyniosły jej również role serialowe. Szczególne miejsce zajmuje kultowy serial *Alternatywy 4*, który na stałe wpisał się w historię polskiej telewizji. Przez wiele lat aktorka była także związana z serialem *Na Wspólnej*, gdzie wcielała się w postać Marii Zięby, stając się codziennie obecną w domach milionów widzów.

Bożena Dykiel przez całe życie zawodowe pozostawała aktywna artystycznie, łącząc pracę na scenie z występami przed kamerą. Jej dorobek obejmuje dziesiątki ról teatralnych, filmowych i telewizyjnych, które współtworzyły historię polskiego kina i telewizji drugiej połowy XX wieku oraz początku XXI stulecia.

Bożena Dykiel pozostanie w pamięci widzów jako artystka o silnej osobowości scenicznej, ogromnym doświadczeniu i wyrazistym stylu aktorskim. Jej role na trwałe zapisały się w historii polskiej kultury popularnej.

Fot.: https://pl.wikipedia.org/wiki/Bożena_Dykiel

Konkursy



NAGRODA ZŁOTY EKSLIBRIS
NAGRODA SUPEREKSLIBRIS

Nagrody Złoty Ekslibris

W roku 2026 odbędzie się już 34. edycja Nagrody Złoty Ekslibris Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

To wyróżnienie przyznawane jest za publikacje o tematyce regionalnej, które mają szczególne znaczenie dla promocji i dokumentowania dziedzictwa kulturowego Łodzi i regionu łódzkiego.

Biblioteka zaprasza autorów, wydawców i czytelników do zgłaszania publikacji wydanych w 2025 roku. Przy ocenie zgłoszonych pozycji Jury weźmie pod uwagę zarówno poziom merytoryczny, jak i walory edytorskie prac.

Nagroda przyznawana jest w pięciu kategoriach: *Najlepsza Książka o Łodzi*, *Najlepsza Książka o Ziemi Łódzkiej*, *Najlepsze Wydawnictwo Albumowe o Łodzi*, *Najlepsze Wydawnictwo Albumowe o Ziemi Łódzkiej*, *Najlepsza Powieść o Łodzi i Ziemi Łódzkiej*.

Zgłoszenia przyjmowane będą do dnia 31 marca 2026 r.

Zgłoszenia można złożyć w sekretariacie Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w godz. 8.00-15.00 (poniedziałek – piątek), przesłać na adres Biblioteki (90-508 Łódź, ul. Gdańska 100/102) z dopiskiem „Złoty Ekslibris”, lub przesyłać pocztą elektroniczną na adres sektariat@wbplodz.pl.

Regulamin Nagrody zamieszczony jest na stronie wbplodz.pl w zakładce „Oferta” (<https://nowa.wbplodz.pl/oferta/zloty-ekslibris/>).

Link do zapowiedzi głosowej: [https://wetransfer.com/download-dd5072ca839fae0c4ff3f0dca973cd6320260212080217/cbafad31ce-acb716feb9dc8f7fb8d13320260212080303/0662cd](https://wetransfer.com/download/dd5072ca839fae0c4ff3f0dca973cd6320260212080217/cbafad31ce-acb716feb9dc8f7fb8d13320260212080303/0662cd)

Szczegółowych informacji o zgłoszeniach udziela Dział Informacji Naukowej, Regionaliów i Bibliografii WBP w Łodzi (region@wbplodz.pl / 42 663 03 23).



Andrzej Walter

Mały brat prowokator

(tekst tylko dla dorosłych, osoby nadwrażliwe prosi się o rezygnację z lektury)

Wielki Brat patrzy coraz dokładniej. Coraz precyzyjniej odlicza nam dni. Wie o nas już prawie wszystko, tyle że jakaś durna reklama medialna powiedziała ci, iż przecież „prawie” czyni wielką różnicę. Nowy tom **Jerzego Jankowskiego**, żyrardowskiego mędrca, poety, mistrza detalu i konkretnych, intelektualnych form wydany dopiero co (jeszcze świeży, ciepłutki i chrupiący), przez Wydawnictwo Autorskie Andrzeja Dębrowskiego to wydarzenie artystyczne z cyklu „a co nam zrobia, skoro i tak nic nie zrozumiemy”. Małe, bo małe, ale mocne w treści.

Autor z nas jakby szydzi, albo ujmiemy to nieco ciężiej, ze wszystkiego szydzi, kpi, pyta, aby nie pytać, odpowiada, dopowiada, neguje, przytakuje, byle krótko, byle na temat, albo tak z kropką „nad i albo i z nad i”, w tych przerażających krótkich formach pisze dzielnie silny traktat filozoficzny niemal niezrozumiały dla kogoś, kogo czasy uczyniły dziś powierzchownym i trywialnym, kogo *zeitgeist* zmieścił już na drobne, kto naiwnie spogląda śmiało w przyszłość udając, że wielkiego brata nie ma, nie było i nie będzie, a będzie tylko wolność i demokracja, czy też może dosadniej prawo i sprawiedliwość, albo jeszcze dosadniej – wolność, równość i braterstwo. I zostaje mi tylko dopowiedzieć po „autorsku”, a co to jest **k...** dziś to braterstwo?

Czy to jest poezja? A co to jest poezja? Wy wiecie, ja nie wiem, Pan profesor z niewielkiej litery zaczął tak mniej więcej wykład inauguruje 48. Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu, niedawno, w tym roku, siedziałem i słuchałem tego człowieka i myślałem sobie „mój Boże”... No nie, nie będę się z Wami dzielił co sobie myślałem, bo bardzo źle myślałem, mało poetycznie. Myślałem co on tutaj **k...** robi. Wy wiecie co to jest to **k...**? To poezja właśnie. Każdego Polaka poezja XXI wieku – słowa jak hymn określające nas międzynarodowo, dzięki którym jesteśmy rozpoznawalni jak Lewandowski. Taka nowa, lecz stara, taka ka, ka, ka noniczna kamać nie kojarzyć proszę z ulicą, na której tron posadziło sobie bratnie (jak czasem) nam stowarzyszenie, w grodzie smoka. Oni też lubią sobie na **k...** czasami skomentować tę piękną rzeczywistość wierszem płynącą (tyle, że im nie uchodzi się do tego przyznać). I wierszem i rymem. Poezja nam się dziś skołtuniła. Ktoś mi ostatnio rzucił w twarz: – panie Walter, a czegoż że się pan tego rymu tak uczepił? Nie wiem czy mogę odpowiadać tej pięknej pani, tak czarująco

śmiejącej się do dni i nocy, do wzruszeń i podduszeń, do dźwięku i wydzwięku, do głasknięć i poziomek, do snu i jawy. Lepiej śnić niż o drogę pytać.

Jankowski porusza świadomość. Liże rany, miłości zarzuca... ciężką wodę, strachowi, że minie, jak już będzie nam wszystko jedno, a że będzie nam wszystko jedno, to ja akurat nie mam wątpliwości, i to nawet będzie wtedy wszystko jedno tym, którzy dziś są przetłumaczeni na 50 języków świata i osiągają orgazm przed każdym lustrem. O Bogowie, my śmiertelni, tacy dzielni, ale strach ustanie, kiedy już się biec przestanie, kiedy jakiś dziki dzik okiełzna te dziwne języki i wreszcie nam odpowie po co był tu każdy człowiek...

Jankowskiemu ręce nie opadają. Jemu strzelać nie kazano. Ale strzela. Nam w pysk. W tym strzelaniu nas po pysku mistrzowsko uderza. Poczytajcie. To taka poezja od niechcenia, do śmiechu i do zjedzenia, a zwłaszcza do przemyślenia (nieprzyzwyczajonym szkodzi), kiedy już nam wszystko jedno, ale wciąż u licha żyjemy i żyć nam się chce, i pisać nam się chce, bo wszystko jest poezją, za wyjątkiem gównianych wierszy pewnych egzaltowanych wieszczów na wydechu i bezdechu, tak jak się miłość wyznawało Julii przez Romea, ale to śmieszne przecież było, jest i będzie, a dziś to jakby kabaret do n-tej... – cóż się pan panie Walter tego rymu czepiasz, kiedy zespół Rammstein zaśpiewał sobie ot tak dla milionów utwór „Pussy”... – szokując tym praktycznie wszystkich – nagrał jakże genialną piosenkę, którą rozprawił się jednocześnie z nowym niemieckim „patriotyzmem” owijając pornografię niemiecką flagą oraz z kondycją współczesnego świata. Przytoczę fragment lepiej w oryginale:

*Too big, too small,
Size does matter after all.
Zu groß, zu klein,
Er könnte etwas größer sein.*

*Mercedes-Benz und Autobahn,
Alleine in das Ausland fahren,
Reise, Reise, Fahrvergnügen
Ich will nur Spaß, mich nicht verlieben*

*Just a little bit...
Just a little bitch!*

You've got a pussy,

*I have a dick,
So what's the problem?
Let's do it quick.*
(...)*

*Tekst pochodzi z <https://www.tekstowo.pl/piosenka.rammstein.pussy.html>

Kto zna języki zrozumie. Nieznającym szczegółów oszczędzimy. Ten fragment wystarczy. Taki jest dziś nasz świat. Młodzież. Seniorzy. Miłość. Intymność. I cytaty z Jankowskiego:

O Impoderabiliach

*kurwa, co to są
imponderabilia*

No właśnie. Ty masz (...), a ja mam (...) – zróbmy to szybko, rach, ciach, ciach, i po krzyku, to po co jakaś poezja, na wdechu czy na wydechu?

I znówu Jankowski:

O prozie – tu nie ma problemu (no nie wiem?!), o poezji – to jest problem...

Poezja to jest problem. Świetna definicja poezji dzisiaj. Poezja to jest problem. Motoryczny, intelektualny, pojęciowy, słowny, czytelnicy gigant problem, mega, hiper i problem jakby wieczności, której przecież nie ma, to cóż ta nieszczęsna poezja, kiedy świat się zatrzymuje (na poezję) to same straty są liczone w bilionach bitcoinów na Kajmanach. Bo to tam kochani są prawdziwe pieniądze, te, liczone w Davos, albo w Grupie Bilderberga, nie te wasze pieniądze śmieci – oszczędności, aby jakoś godnie przeżyć starość, tylko te pieniądze, dzięki którym Mr X zdecyduje – ty żyjesz, ty do gazu. Klocki Lego z obozu koncentracyjnego? To już passe. Dziś misie dostały lepsze zabawki. Twój genotyp, Twoje marzenia, Twoje całe ja. Twoje jutro.

Jakaś wojna na Ukrainie? To dla „zjadaczy chleba”. Poezja Jerzego Jankowskiego nie jest dla chleba zjadaczy. Jest dla... niewyprowadzonych. Dla tych *bezechlebowych* pełnych wiary, nadziei i miłości. Dla naiwnych artystów, tych prawdziwych, szczerych i krocących drogą donikąd.

(Dokończenie na stronie 4)

Mały brat prowokator (tekst tylko dla dorosłych, osoby nadwrażliwe prosi się o rezygnację z lektury)

(Dokończenie na stronie 4)

To takie wspierające szyderstwo podnoszące, a może i nie na duchu, a może i tylko na ciele zbyt skomplikowanym na śmierć. Dla tych pijaków, co wszędzie szukają okazji do znieczulenia. Słowem i toastem.

O nieszczeni Horacy. „Bo przecież nie cały umrę” to znaczy „non omnis moriar”, co wyraża przekonanie o tym, że człowiek (zwłaszcza artysta) nie umrze całkowicie, ponieważ jego sława (cha,cha cha) i dzieła pozostaną po nim na zawsze. No, chyba, że nie pozostaną. Na Kajmanach zdecydować.

Jerzy Jankowski

o wolnej woli

*ja mam. ty masz. oni mają.
wolno to iść. przecież
nie muszę pisać tego wiersza
a piszę. we wszechświecie przybyło
dlatego się rozszerza*

No tak. Miliony grafomanów pisze swoje teksty i „się rozszerza”... Po wszystkich rozmiar... ma znaczenie. Tyle o tym Rammstein. Może jednak?

I ten przerażający wiersz Jerzego Jankowskiego na koniec... co zostaje z nas, z tekstów, z myśli, z tego wszystkiego, z kopania się z koniem, z pisania poezji, z objaśniania poezji, z kochania, z życia... Wiersz „o zasadzie zachowania myśli”.

Podobno statystycznie więcej mamy już dziś rocznie samobójstw niż wypadków samochodowych. Usłyszałem to od wziętego psychoterpeuty. Taki świat zaistniał, takim go stworzyliśmy na obraz i podobieństwo... samych siebie, bo żadnego Boga przecież już nie ma. Bogami jesteśmy my, a poezja... „paszła, kak przisła”.

Dobrze to sobie wymyślił – nie, nie wielki brat, tylko ten mały wielki Jankowski – poeta – brat z Żyrardowa i niejako z Warszawy, poeta współczesny, który kulom się nie kłania i leci dzielnie strącając raz za razem kolejny samolot wroga, ale robi to jakby mimochodem, ze smutkiem, smakiem i melancholią. Z flegmą angielskiego Lorda rzuca nam słowem w twarz... Ja się tak poczułem, choć mi to dobrze akurat robi. Wkurza mnie do pisania i piszę. I próbuję ratować resztki tego świata wierząc w coś czego już nie ma i mówiąc Wam – nie jesteście sami. To jedyne chyba dziś pocieszenie, ale niestety są tacy, którzy to braterstwo odsprzedadzą za 51.

tłumaczenie na kolejny egzotyczny język – tym razem może nawet marsjański.

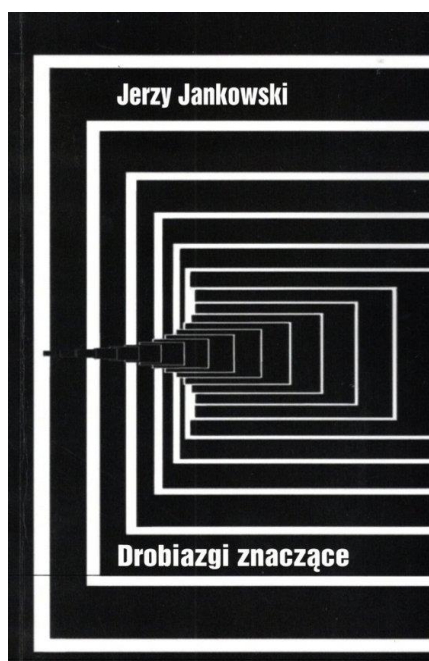
Zabolał mnie ten tom, ale i się spodobał. Przerwał ciszę. Już Jankowski po raz drugi. Połknąłem cały już kilka razy. Myślę i czytam, czytam i myślę, myślę i zastanawiam się, tylko nie wiem po co? Tom nazywa się „Drobiazgi znaczące”, Wydawca w swoim słowie wstępnym twierdzi, że „Wcale nie takie drobiazgi”. Andrzej Dębkowski skądinąd słusznie zauważa „To poezja naukowca, który w laboratorium emocji destyluje czysty obraz... zawsze nieoczywisty”. Czy to właśnie jest poezja? Nieoczywistością. Też w to wierzę.

Zostawię Was z tym pytaniem, bo przecież muszę Was z czymś zostawić, zatem niech to będzie takie moje dla was duże nic – znaczący drobiazg rozmyślań.

Wygląda na to, że nas poetów już nie ma, nic po nas nie pozostanie, te wszystkie tomy wyrzucą, przemiela, zasilą złom czasów i przemijania, ale może jednak jakaś iskra zapłonie. Zapłonie wskrzeszając ducha i nadzieję, na jakieś jutro? Lektura krótkich form Jerzego Jankowskiego skłania do konkluzji, że nie. Ja w zasadzie też już wiem, że nie. Tyle, że każdy z nas – zarówno Dębkowski, jak i Jankowski, ale i Walter, wierzymy w te cholerne słowa wypruwane z samego własnego krwioobiegu rzeczywistości i dające choć świadectwo. Jak już kiedyś napisałem – tylko tyle i aż tyle...

Poezjo – bądź – jaka byś nie była, i pozostan z nami do śmierci, naszej albo swojej, choć lepiej jednak tylko naszej.

Andrzej Walter



Jerzy Jankowski, *Drobiazgi znaczące*. Redakcja, słowo wstępne, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębkowski. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Artur Krajewski. Wydawca: Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Zielów 2025, s. 44.

Anna Partyka-Judge

Krąg

w katedrze lasu brzozowego
wyśpiewam cichą modlitwę
niech wzleci w beżmiar

zakreślę magiczny krąg
i ożywię niezgłębioną mandalę
a nietrwałe drobinki czasu
zastąpię murlattem

w rytmie mantry rozkołyszę biodra
wniknę w magię drzew
niczym szeptucha

dobrostan podaruję ziemi
i przywołam echo
minionych stuleci

wydobędę z niepamięci
drzemiące we mnie dziecko

Kosmiczna biesiada

ponad dniem i nocą
nieśmiałą jutrznią
rodzi się dynamiczny most
przejście w przestrzeń
skrzyżowanych linii czasu

protoplanety bankietują w przestworzach
popijają koktajle z mlecznych dróg
dosmaczone łuną i czarną nicością
gwiazdy nie znają pojęcia godzin
ta biesiada nie ma początku ani końca

krople wieków
przypominają o nietrwałości
ziemskiego istnienia
więc pozwól sobie na bal
i nie wypuszczaj więcej sekund
przez wrota czasu

Rozbudzanie

spokój poranka kładzie się gęstą ciszą
mości między przemilczanymi słowami
jeszcze sennie płasza dotykiem ciepłej dłoni
rozpoczynając swoje tutti

za oknem leniwy wiatr kołysze liśćmi łopianu
nadmiarem kropel rosy
wygina w tańcu niebieskie lobelie
a świetliki gaszą latarnie

dzień rodzi się klejnotem kompozycji
niczym dyrygent daje znak batutą
by celebrować nowe misterium
nadać znaczenie słowom i gestom

wkradają się dźwięki codzienności
wszystko przyspiesza wraz z ekspressem do kawy

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(8)



Fot. Andrzej Dębowski

Miłosz w Berkeley, lata 60.

„W ciągu tych wszystkich lat, jakie przeżyłem w zachodniej Europie, nie dostałem ani jednej oferty od instytucji zajmujących się krzewieniem wiedzy. To prawda, że moja dziedzina – literatury słowiańskie – jest nieco ezoteryczna. Ale jeżeli uchodzi za taką na kontynencie w połowie zamieszkałym przez narody słowiańskie, można z tego wyciągnąć różne wnioski”⁴.

Początek lat 60. ubiegłego wieku będzie bardzo pracowity, ale spokojny dla kosmity. Przełom nastąpi w drugiej połowie lat 60., gdy w San Francisco zaczynają się wznosić wysokie fale niezadowolenia społecznego, a studenci zaczynają się domagać zmian i wypowiadać w imieniu Ameryki przeciwko Ameryce, co bardzo zaniepokoi poetę.

W Berkeley Czesław Miłosz był przybyszem z dalekiej planety (nie licząc jego znajomych i studentów z uczelni), bo jego ducha w Ameryce nie było. On był zajęty zupełnie czymś innym. W Berkeley był tylko fizycznie, był tylko ciałem. Zapracowany jak zawsze, spędzał setki godzin w bibliotekach na wertowaniu starych map, przewodników, encyklopedii, nie o Ameryce, ale o Europie, Litwie, tym kawałku ziemi, na którym się urodził. Doszukiwał się swojej tożsamości, korzeni mających setki lat, a żył i mieszkał wśród ludzi patrzących w przyszłość, którzy ciągle byli w ruchu, dla nich nie było problemem rozwiązanie starego kościoła i wybudowanie na jego miejscu sklepu lub parkingu. Dla nich nie było problemem sprzedaż mieszkania wraz z meblami, bo kto by woził ze sobą stare krzesła lub stoły, kredensy i szafy po Ameryce. Ludzi, którzy jeśli potrzebowali garnitur, to szli do wypożyczalni garniturów, wypożyczali go na dzień lub dwa i nie było sprawy. Jego myśli i twórczość była o czymś zupełnie innym, no-

gami stąpał po ziemi amerykańskiej, myślałmi wędrował tysiące kilometrów od miejsca zamieszkania. Miłosz w Ameryce to badacz kultury, socjolog, antropolog, amator archeologii amerykańskiej, tak się czuł w wielkich miastach, gdzie żyje sto pięćdziesiąt ludzi na kilometr kwadratowy. Prowincja – te wielkie przestrzenie pomiędzy A i B, gdzie jest jeden człowiek na kilometr kwadratowy, to nuda. Wielkie i małe przestrzenie przerażały go. Po prostu źle się czuł w Ameryce, chociaż wybrał ją na swój dom. Na szczęście dla nas, wielbiciele jego twórczości, on sam dla siebie był światem, ustalał, co jest ważne, a co najważniejsze, jedynie przybył z zewnątrz, na przykład Zbigniew Herbert czy Aleksander Wat byli dopuszczani pod warunkiem, że spełnią określoną rolę, jaką gospodarz im wyznaczył. Można powiedzieć, że przede wszystkim był skupiony na sobie samym, co nie jest żadnym wyjątkiem wśród artystów. Jego nieliczni studenci wiedzieli, co tak naprawdę ich profesora interesuje. Dla niego najważniejsze było to, co dotyczyło bezpośrednio tylko jego, akurat tego, nad czym pracował w danym momencie. W rozmowie z Aleksandrem Fiutem poeta powiedział: „Ameryka jest krajem wielkiej samotności. Trzeba być bardzo mocnym, żeby przeżyć tak dużą samotność jak w Ameryce”⁵.

Po raz kolejny poeta mówi prawdę o Ameryce, ale ludzie w Polsce nie chcą jej słyszeć. Dlaczego? Bo Ameryka to raj dolarowy i dajcie mi wizę amerykańską i też będę chciał być tak samotny jak Miłosz – wielu tak wtedy myślało i dzisiaj też myśli. W dalszej części tej rozmowy poeta z Berkeley mówi: „W Ameryce jest o wiele więcej życzliwości niż w Europie. Chęci pomocy, bezinteresownej życzliwości. A równocześnie jest ogromny dystans pomiędzy człowiekiem i człowiekiem. Dystans, który jakby ma odpowiednik w ogromnych przestrzeniach. To znaczy, nie ma się czasu, nikt nie ma czasu, żeby się spotkać”⁶. Dalej poeta wyjaśnia dlaczego według niego tak się dzieje. Aby zakończyć tę myśl, stwierdza: „że, przestałem czuć się w Ameryce pariasem, cudzoziemcem, który jest obcy. Tam wszyscy są obcy. Wszyscy skądś przyjechali”. Tak, wszyscy skądś przyjechali, ale za pracą, a nie za kulturą, nawet sławna na cały świat paryska „Kultura” nie ma tutaj za wielu czytelników.

Dla niego amerykańskie lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku, burzliwe od strony społeczno-politycznej, były ciekawe, ale bardziej zachwycał się amerykańską naturą Kalifornii, zachodu kraju, niż amerykańską polityką. (Pewne jej ślady znajdziemy w korespondencji Miłosza do znajomych, choćby do Zbigniewa Herberta o Murzynach, czy redaktora paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia będącego pod Paryżem, co tak naprawdę w tym Berkeley się dzieje lub w korespondencji z roku 1969 z Markiem Skwarnickim. Píše wprost: „cierpię nad tutejszym obłędem dwóch nienawidzących siebie Ameryk w jednym mieście”). Tak, miasto Berkeley było miejscem podzielonym, jednym był kampus i „walka o lepszą Amerykę”, a drugim samo miasto żyjące własnym życiem, obserwujące obszar uniwersytetu z dużym dystansem.

Była jeszcze ogromna Ameryka, to, co się w niej działo i wojna w Wietnamie, dyskryminacje rasowe czarnych Amerykanów, protesty młodych ludzi nie tylko w Kalifornii.

Dwa przeciwstawne bieguny

Narodziny beatników, wiersze hippisów z pobliskiego San Francisco, działalność jednej z najważniejszych księgarni i wydawnictwa w Ameryce, księgarni City Lights, czy zainteresowanie się młodzieży amerykańskiej kulturą dalekiego wschodu, medytacją, piosenki i pieśni Boba Dylana, wiersze Allena Ginsberga i Dzieci Kwiatów, śmierć króla Rock & Rolla Elvisa Presleya, są poza zainteresowaniem poety spod Wilna. Miłosz był od tych ludzi mentalnie zupełnie inny, żył w swoim mieszczańskim, nudnym świecie, w którym dużo się działo dramatów i rozterek. Życie poety Miłosza w Kalifornii było bardzo tradycyjne, praca od rana do wieczora, w weekendy wypadki na łono przyrody, etc., czyli zupełnie inne w porównaniu choćby z życiem poety wydającym swoje książki w City Lights Bookstore, Allenem Ginsbergiem. Był on jednym z największych poetów Ameryki drugiej połowy XX wieku, a w *Widzeniach...* pojawia się tylko raz, w rozdziale piętnastym pt. „Wizerunek bestii”, na samym początku poematu „Howl”, a w nim Moloch, którego ucho dymiący grób! Rozdział rozpoczyna się zdaniem „Allen Ginsberg skandując swoją na odwrót-whitmanowską pieśń był Każdym”⁷. Słowo „Każdym” z wielkiej litery.

Miłosz lubił Ginsberga za jego whitmanowską postawę, ale nie cenił jego działań, bo uważał, że taka postawa służy bardziej anarchii niż sprawie, którą Ginsberg reprezentował. Nie jest to pochlebne zdanie o poecie, który podporządkował swoje życie poezji, podobnie zresztą jak i poeta profesor Miłosz. Jak już wspomniano, obaj poeci są na dwóch różnych biegunach osobowości: Ginsberg szaleństwa, a Miłosz spokoju mieszczańskiego, Ginsberg zarośnięty, brodaty błazen Ameryki, a Miłosz wygolony uczony, profesor uniwersytecki. Nic ich nie łączy, a jednak poeta wileński cytuje go, bo widzi w nim zmiany zachodzące w Ameryce, widzi w nim Walta Whitmana XX wieku. Ten *Moloch, którego duszą elektryczność i banki!* Ten kraj pieniądza „Złotego Cielca” właśnie poprzez poezję i poetów, takich jak Ginsberg zamienia się lub zmienia Ameryka w miejsce, gdzie kultura i sztuka, poeci i artyści będą mieć znaczenie. Ameryka po II wojnie światowej przez dwie dekady zmienia się w kraj, do którego miliony głodnych, niepiśmiennych przybyło za chlebem na Ellis Island.

cdn.

⁴ Cz. Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 1989, s. 184.

⁵ Czesława Miłosza *autoportret przekorny*. Rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut, Kraków 1994.

⁶ Czesława Miłosza *autoportret przekorny*. Rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut, Kraków 1994, s. 123.

⁷ Cz. Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 1989, s. 58.

Monika Banaś

Chciałabym ci powiedzieć

*Chciałabym opowiedzieć ci o nocy,
bez poezji i wódki i o tym »cudownym stuleciu«,
w którym przyszło nam żyć (...)*

(Andrzej Dębowski, *Na ziemi jestem chwilę...*)

o nocy budzonej lękiem
i śnie w którym
rozległe korytarze
prowadzą do zamkniętych pokoi

otwieram kolejnymi kluczami
dantejskie sceny przyszłości
budzące krzyk

chciałabym ci powiedzieć
jak otulają mnie czarne skrzydła
czekające na świtanie

znów skłamię uśmiechem warg
mówiąc *dzień dobry*

Jeśli chcesz mnie poznać

nie zagładać w oczy zaszkłone
tylko zamknij swoje
i zgłębiaj

dotknij niewidzialnego
niewypowiedzianego
między nieufnością a pragnieniem
iluzją a realnością
w połowie drogi do poznania
mieszka sowa
uważnym spojrzeniem
sięga w głąb skrywanych sekretów
mądrością zabliznia przeszłość

przewędruj jej mroczne ścieżki
meridiany i kosmos elektronów
nie wiem co odkryjesz

jestem gdzieś pośrodku

W małej przestrzeni

nie czekam
aż jeźdźcy spłoszą apokalipsę
trzymam przyszłość
za rozognione wodze
badam prawdy
bliskie bólem i rozkoszą

moja rzeczywistość
nie tęskni za tym
co było wczoraj
i zdarzy się potem

tutaj uprawiam wiersze
jak ogródek
w małej przestrzeni
wszechświata

tylko sen przerywa
głośniejsze bicie serca

słyszę westchnienia
innej duszy
i śmiech bliski
choć daleki

czasem o tym piszę
przekrzywiając wymaganą
aureolę przyzwoitości

Biały kruk

śnij sen gdzie dobre serca
gdzie człowiek nieułomny
myślą wybiega ponad

śnij o mądrości przodków
i wchłaniaj dym dawnych ognisk
spalaj gorsety niczym Scarlett O'Hara
szukaj w sobie *białych kruków*
i bądź jednym z nich

jedyna gwarancja dziecko moje
to samotność

Winorośl

po co błdzić
zdzierając podeszwy
nabierać czas zardzewiałą miarką
nanosekund i miesięcy

łatwiej podlewać ogród
który rośnie tylko we mnie
pamięta zapach ziół
pielęgowanych przez babcię
i taniec czerwonych sandałów
między wysokimi trawami

smakować papierówki
z dorodnego sadu
i pozwolić życiu by dojrzewało
jak domorosłe wino
w drewnianych beczkach
mojego dziadka

wśród dzikich pnący
wić gniazdo
które nazwiemy domem

Pod gasnącym nieboskłonem

w bezmiarze tułających obłoków
krzyk orła przecina władczy kobalt
skrzydła zagarniają gasnące światło

na darniowym posłaniu
obleczonym przygasłą zielenią
czujny wilk układa się w moim śnie

ienie kłaniają się matce ziemi
na której spoczywają
totemiczne istoty
i ochronne drzewa

Nie bój się żyć

nie oceniał wczoraj
zbyt pochopnie
z goryczą wplatając cienie
w pracowite dłonie

otrzymałeś dar
widzenia wszechrzeczy

nie bój się dziś
bo zapowiada dobre chwile
z nutką zapachu deszczu i kawy

nie projektuj jutra
w zastygłej matrycy
bo niepewność jest wpisana
w kalejdoskop

los wywija salta
lecz epitaforium należy do ciebie

Sukcesja

prawo przodków powraca falami
w krwi i pamięci
przewija się
niczym biblijny wąż
bez początku i końca

w testamencie dziedzicysz
narzucone dogmaty traumy
przekleństwa pokoleń
snujące się cicho

zerwij przymierze z przeszłością
i przetrnij nić mariażu
między piekłem a poznaniem
pradziadowie nie wyznaczają szlaku

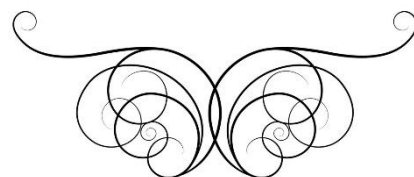
nie pozwól ranić swoich stóp
o cudze grzechy

Bądź swoją puentą

nie szukaj świadectwa
w cudzych słowach
skoro możesz być końcem zdania

jesteś wichrem
który tłumisz
w zakamarkach cnotliwych przykazań
nie kłękaj
nie proś
nie czekaj

masz w sobie wszystko
więc pływaj
między krążankiem niebios
a przedśmionkiem piekieł



Kazimierz Balawejder

rzeński poranek

mgła wspina się
na wzgórzach tyle wiary
dostrzegam jaśniejszy sens
różańce jarzębiny
poruszone wiatrem
wędrują z modlitwą
bieszczadzskich aniołów

stronicę poety
rozlewa poetycka akwarela
litera tańczą
w rytm szmeru
górskiego potoku
wrzosa pną się do góry
chciałyby dogonić puentę

wiatr uwięziony w bukach
jęczy
wtóruje pieśniom drwali
ptaki wędrowne
przecinają niebo
w pustej cerkwi
trochę modlitwy i zamyślenia
o Łemkach
co dawno już poszli do nieba

z głębi siebie

wyszedłem
z betonowych dźwięków
metalicznych
oparów miasta

cisza dudni
w leśnej chacie
jest przerwą
inaczej

pajęczyna utkana
z wierszy
pośród starych buków
we mnie żar

rozszerzają się góry
nie mogę oprzeć się bliskości
maluję
słowo za słowem

otworzyć

szliśmy wzdłuż strumienia
woda rzeźbiła kamień
szepotała o szczęściu
rozlewała uśmiechem

buk dawał dużo cienia
a ty pachniałaś
miodem i miłością
rozcigał zachwyty
loty ptaków
kroili niebo

odbijało serce
na naszych brzegach

drżało ciało
w ostatni fragment skóry
wnikała poezja
wiatr rozwiewał włosy

wzrok już nie obojętny
kiełkują słowa
zbieram jak miododajny pyłek
dodaję całej reszty wyobraźni

niesie melodia

mgła
biały welon
biała rzeźba
rozsypuje
na połoninie

liście buka zapisują daty
szepty
i rumieńce na twarzy
twojej i mojej

rośnie powietrze
anioły zostawiają
swoje cienie
wiatr marszczy
falą jezioro

a ty
niebieskie wciąż masz oczy
i w rękach gitarę
na ustach słowa
...zielone wzgórze
nad Soliną...

Kasia Dominik

Na środku klasy

Stoi pośrodku sali.
W spojrzeniu Bazyliuszka
odbijające wszystko, oprócz siebie.

Mówi dużo.
Nie patrzy, czy ktoś słucha.
Słowa lecą w powietrze mięsem armatnim.
Nie lądują nigdzie.

Obok niej siedzi chłopiec.
Patrzy przez okno i pyta,
czy chmury mają nogi?
Czy cisza też się męczy,
gdy długo trwa?

Nauczyciel nic nie mówi.
Tylko marszczy brwi.
Może też nie wie?!

Na końcu ławki – ktoś mówi,
że nie było go wczoraj,
bo został porwany przez sen.
Albo wiatr.

Albo coś innego, co trudno sprawdzić.
Wszyscy są zajęci niczym.
Świat był za mały na wspólne słowa.

Z dzwonka nie wybrzmiewa ulga,
bardziej przeliczanie dni do emerytury.

* * * (Jestem chochołem)

Jestem chochołem
wiatru swobodnym tańcem

Wśród zjeżdżających słów
przemierzam przestrzeń
odkrywam tajemnice
w nieśmiertelnym
kłosie

Nie pokona mnie ziemia
nie wykarczuje człowiek
nie upodli żaden łańcuch

Niezdatna bynajmniej
skrywam pod słomianą szatą
krzak róży
w którym każdego roku
odradzam się do (nowego) życia

Na końcu bitwy rośnie mak

Mieszka w tunelu bez okien,
Ściany są z gumy, podłoga z piasku.
Jej noce mają smak niedojrzałych owoców,
poranki wstają z twarzami pustych
manekinów.

Nie pisze, by straszyć, szydzić z dróg.
Widziała cienie płaczące za drzwiami.
Ma śnieg w kieszeniach, wiatr w butach
i słońce spływające z ramion.
Chce się tym podzielić,
zdrowiem jak las w deszczu,
który wybucha liśćmi na pustyni.

Pragnie by słowa przestały
gubić się w labiryntach, a dłonie
by znalazły ziemię miększą od chleba.

A gdy nadejdzie kolejny świt,
może spojrzy w siebie jakby nigdy
nie była pękniętym na pół lustrem.

Do wyłącznego użytku

Życie jest nitką. Biegnie przez dłonie,
skręca się, płacze, czasem przerywa.
To wiersz, który poległ
zanim został napisany
na oparach kartki.

Bez niego nic się nie stanie,
a może wszystko?!
Uciekam pozwalając się gonić
zdawkowym słowom
niemodlitwe.

Krusząc się na chwilach zapragnęłam
czasu pozostawionego w pamięci.

Piotr Prokopiak

Schulz i Witkacy: intrygujący dyskurs odrębnych światów

Poza tą treścią przedstawioną z niezwykłą potęgą wyrazu niektóre z kompozycji Schulza zdają się prawie zbliżyć do ideału Czystej Formy...

(S.I. Witkiewicz, Wywiad z Brunonem Schulzem)

W historii polskiej literatury dwudziestolecia międzywojennego istnieją dwie osoby – dwie wizje – które wydają się odległe niczym zachód od wschodu czy północ od południa. Na jednym biegunie Bruno Schulz – nieśmiały „zawodowiec gabinetu rysunkowego”, nauczyciel obsesyjnie przywiązany do zaściankowego Drohobycza, tworzący kontrowersyjne grafiki i wizjonerskie opowieści, w których codzienna rutyna przeistacza się w mit. Urodzony w 1892 roku pod zaborem austriackim w rodzinie zasymilowanych żydów. Nie znał języka hebrajskiego ani nie przestrzegał tradycyjnych zwyczajów religii mojżeszowej. W lutym 1936 zerwał nominalną przynależność do gminy żydowskiej ze względu na planowany ślub z Józefiną Szelińską. Biegłe posługiwał się językiem niemieckim, lecz to polszczyznę uznawał za swój język ojczysty. Jego osobliwą biografię może nie do końca trafnie podsumowuje stwierdzenie: „urodził się jako Austriak, żył jako Polak, zmarł jako Żyd”. W istocie był Brunonem Schulzem – polskim pisarzem żydowskiego pochodzenia. Na drugim – Stanisław Ignacy Witkiewicz, zwany Witkacym – ekscentryk, filozof, dramaturg, malarz, założyciel Firmy Portretowej, poddający swój organizm drastycznym eksperymentom ze środkami odurzającymi; człowiek, który swoją sztuką i życiem nieustannie prowokował, a nawet bulwersował opinię publiczną. Dziś określono by go mianem: „człowiek orkiestra”. Urodził się w 1885 roku w Warszawie w rodzinie szlacheckiej. Nie uważał się za religijnego. W młodości wiele podróżował, natomiast w czasie I wojny światowej walczył w szeregach armii Imperium Rosyjskiego. Pod koniec 1917 roku został zwolniony z wojska, a następnie był świadkiem okoliczności i konsekwencji rewolucji październikowej. Te doświadczenia odcisnęły na jego psychice trwałe piętno, które towarzyszyło mu po powrocie do odrodzonej Rzeczypospolitej, a także pośrednio, wiele lat później stało u podstaw metody śmierci, jaką sam sobie wybrał. Zatem już na wstępie możemy przekonać się o ich dogłębnej różności, wyrażającej się m.in. w drodze życiowej, pochodzeniu i dojrzewaniu do funkcji artysty w społeczeństwie. Wszak każdy z nas jest rzeźbiony dźwiękiem osobistych doświadczeń i decyzji. Poza niewątpliwym talentem Brunona Schulza i Stanisława Ignacego Witkiewicza (oczywiście każdego w swojej klasie), jedynym punktem wspólnym,

jakiego mogą się doszukać, to obojętny stosunek do religii (nie mylić z duchowością).

Kiedy wizualizuję sobie ich postacie, pojawia mi się przed oczami pewne zdjęcie wykonane w latach 30. w mieszkaniu dr. Jana Kochanowskiego podczas jednej z witkacowskich „Maskarad”. Na fotografii rozpoznajemy rzeczony dr. Jana Kochanowskiego, Romana Jasińskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz Bruno Schulza. Nawet w tej scenie, zaaranżowanej tuż przed makabrycznymi dla Europy wydarzeniami, widać kontrast między interesującymi nas indywidualnościami. Witkacy w swoim stylu prowokuje i przeraża. Z mefistofeliczną miną szczerzy niekompletne użębienie i mierzy sztyliciekiem w krocze Schulza, jakby czyniąc złośliwą aluzję do obaw przyjaciela przed kastracją. Tymczasem Schulz przytyka oczy palcami, wydaje się wystraszoną agresywną rzeczywistością, cofającym się do wnętrza swojego jestestwa. „Wizjoner” niechętny „widzieć”! Wizjoner wpatrzony w światy zalegające w opłótkach jaźni, zstępujący do korzeni nawarstwionych „po drugiej stronie rzeczy”. Przybrane przez artystów pozy jasno ilustrują dychotomię w jednakim dla tych osobistości spektrum historii polskiej literatury. Diametralnie osobni, a jednak wspólni.

W naturze ludzkiej różnice często prowadzą do wojny, ale również do dialogu, który, choć nie zawsze skutkuje konsensem, to może stworzyć asumpt do fascynacji i rozwoju w postaci innych możliwości, interpretacji, sprowokowania do zadawania kolejnych pytań odnośnie do wszystkiego, co dotyczy człowieczej strony istnienia. Sugeruję, że tak właśnie było w przypadku piewcy Czystej Formy, jak również drohobyckiego autora „Mityzacji rzeczywistości”. Ich wzajemne kontakty nie nazwałbym przyjaźnią w sensie stereotypowym. Raczej mamy tu przykład specyficznej harmonii wynikającej ze spotkania dwóch odmiennych person, nieprzystających do banalnej i ordynarnej powszechności.

W Europie zmaltretowanej okrucieństwami I wojny światowej konstytuował się nowy ład. Po 123 latach nieistnienia na mapie Europy odrodzona Rzeczypospolita z mozołem budowała swoją tożsamość. Ten niespokojny okres zaowocował poruszeniem środowisk twórczych i pionierskimi teoriami mającymi pomóc w „oswojeniu” i zrozumieniu rzeczywistości w dobie ogólnej erozji wartości. Artyści na różny sposób próbowali ogarnąć ferment i dezaktualizację dotychczasowych, przestarzałych modeli (wzorów) porządku świata. Witkacy reaguje na to postulatem „Czystej Formy” – teorią uniezależnienia się

sztuki od treści¹, natomiast Schulz podąża (ucieka) w głąb – w „mityzację rzeczywistości”, czyli nadanie blahym i banalnym wydarzeniom rangi mitu.² Każdy z nich na różny sposób zareagował na zaistniały, identyczny problem – utratę stabilnych punktów oparcia w nowoczesnym świecie. Witkacy – „wariat zrozpaczony” (określenie Gombrowicza) pisał dramaty pełne groteski i apokaliptycznych obrazów, w których atakował i dopuszczał się śmiałych prowokacji. Schulz z kolei chował się w stworzony przez siebie mikrokosmos Drohobycza, gdzie sklep ojca przeobrażał się w uniwersum zaś najbliższe otoczenie w arenę metafizycznych metamorfoz.



Jan Kochanowski, Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy), Roman Jasiński i Bruno Schulz, Warszawa 1934, fot. Jan Kochanowski / archiwum E. Jasińskiej / Fotonova

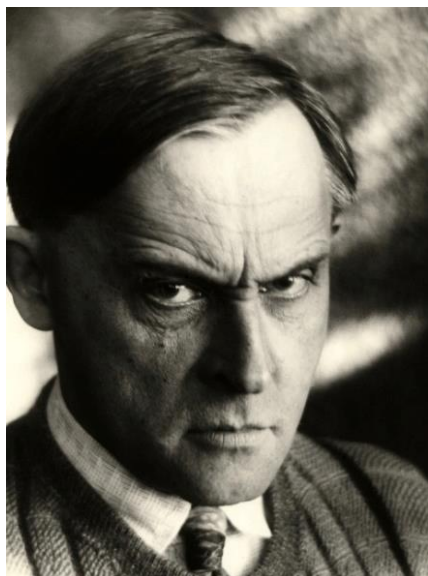
Według wybitnego znawcy tematu Jerzego Ficowskiego, do pierwszego spotkania Bruno Schulza i Stanisława Witkiewicza doszło w 1925 roku w Drohobyczu. Od tej chwili, aż do wrześniowej apokalipsy 1939, ich drogi co pewien czas się krzyżowały. Znamienne dla początków tej inspirującej znajomości były spotkania w Zakopanem, gdzie m.in. przewija się postać Debory Vogel – autorki tomu „Akacje kwitną”. Jednak dopiero od 1934 roku ich wzajemne kontakty stają się bardziej bliskie i zażyłe, czego wyrazem będzie częsta, deklarowana przez obie strony przyjaźń.³ Znaczący wpływ na pogłębienie relacji miało wydanie „Sklepów Cynamonowych” Bruno Schulza, które to Witkacy określił „zjawiskiem na granicy genialności”. Dla przykładu: sylwestra 1934/35 spędzają razem w mieszkaniu Witolda Gombrowicza (trzeciego z nowatorów polskiej, a w istocie światowej prozy) przy ulicy Chocimskiej w Warszawie.

Interesującym świadectwem dokumentującym bliskie stosunki pisarzy jest ocalała, skromna część korespondencji oraz artykuły prasowe, które znamienne ilustrować zaistniałe, artystyczne porozumienie tych, wydawać by się mogło skrajnie odmiennych

intelektów. Drohobyczanina intrygował odważny radykalizm i nieustępliwość Witkacego.⁴ Tymczasem Witkacy dostrzegał w Schulzu niezwykłą wrażliwość, której być może sam odczuwał deficyt.⁵ Oczywiście był w stosunku do skromnego nauczyciela nonszalancki, a nawet protekcyjny, jednak miał świadomość, że los zetknął go z kimś wyjątkowym i dotychczas niespotykanym. Pisma wybrzmiewają chęcią zbliżenia, badania drugiej strony, są przepełnione napięciem, aczkolwiek bez ochoty do rezygnacji z własnych poglądów na twórczość i rozumienie świata. Roman Jasiński tak scharakteryzował Schulza: „okazał się człowiekiem równie delikatnym i dyskretnym, co nieefektywnym”. I wkrótce dodaje: „Przecie Witkacy potrafił i jego rozczyrniać (czyli rozbudzić, rozruszać)”.⁶ W ten oto sposób przeciwieństwa stają się dla siebie wzajemnym ubogaceniem, bo nie wątpię, że i Witkacy czerpał z tej znajomości określone, wymierne korzyści.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, którego artystym był totalnym eksperymentem, to postać z pogranicza sztuki i performance. Pisał dramaty, portretował przyjaciół i nieznanym w ramach swojej Firmy Portretowej i tworzył filozoficzne traktaty o kryzysie kultury. Głośny i obsesyjny samym sobą inscenizował powstałe dzieła sztuki.

Bruno Schulz z kolei pisał niewiele, ale każde zdanie, każde słowo było nasycone niezwykłą wyobraźnią. W jego prozie nie ma krzyku, jest delikatny szepc. A jednak ów szepc potrafił przemienić realność w mit, zatrzymać czas, pokazać nieskończoność w jednym geście czy przedmiocie.⁷



Stanisław Ignacy Witkiewicz

Wspólnie odczuwając dekadencję epoki, osadzeni na odległych biegunach głosili swoje przesłanie. Witkacy – jako wieszcz katastrofy, Schulz – jako poeta czułości. Jednakże ich wzajemne porozumienie dokonało się nie tyle w sferze intelektualnej, ile w wspólnej wierze w sztukę jako ucieczkę od paranoicznej i destrukcyjnej doczesności, jako element, który

nadaje wartość istnieniu i czyni artystę nieśmiertelnym.

Witkacy powiada: „Sztuka jest ucieczką, najszlachetniejszym narkotykiem, mogącym przenieść nas w inne światy bez złych skutków dla zdrowia, inteligencji”.⁸

Natomiast Schulz stwierdza: „Jedynie w sztuce przeżywamy własną śmierć, trwamy poza nią, tylko sztuka może przewyciężyć przemijanie wszystkiego”.⁹

Świadomi niepewnej, ulotnej pozycji i braku bezpieczeństwa człowieka w życiu realnym, szukają azylu chroniącego przed nicością. Ratunek, ocalenie od zakusów powszechności lokują w twórczości. W tym zgodnym przekonaniu różnią się wyłącznie charakterem i metodami, środkami wyrazu, którymi chcą osiągnąć zamierzony cel. Schulz potrzebował ciszy, kontemplacji, mitologii zwyczajności. Witkacy potrzebował krzyku, żartu, teatru totalnego. Chociaż wspólny projekt byłby wysoce nieprawdopodobny, ich specyficzny związek jest jasnym dowodem na to, że wielka twórczość kwitnie na gruncie antagonizmu, inności i wszelkich, pozornie nie do pogodzenia, dialektycznych tarć.

Autentyczna sztuka nie przemawia jedynym głosem, to raczej wielogłos, którego poszczególne napięcia i dźwięki wzajemnie się kompletują. Mało tego, to ciągłe odkrywanie nieznanych dotąd rejonów, to ustawiczna heresia stojąca w opozycji do powstałego (uznanego i uświęconego) dziedzictwa. „Gdyby sztuka miała potwierdzać, co skądinąd zostało ustalone – byłaby niepotrzebna. Jej rolą jest być sondą zapuszczoną w bezimiennie. Artysta jest aparatem rejestrującym procesy głębi, gdzie tworzy wartość”¹⁰ – odpowiedział Witkacemu na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” Bruno Schulz. Konkludując: każdy rzeczywisty (penetrujący nowe obszary) artysta może doświadczyć krytyki, wyśmiewania, pogardy, a nawet ostracyzmu. Powinien być przygotowany na próbę, niepewną weryfikację czasu, często niekorzystną dla najbardziej zainteresowanego. Zachodzi również ewentualność całkowitego nierozpoznanie talentu lub zagubienie w przepastnych archiwach dzieł ludzkiej myśli, a nawet fizyczna eliminacja powstałych dzieł. To wszystko jednak nie znaczy nic, jeśli istnieje ryzyko zlekceważenia „niepokoju metafizycznego”, a tym samym zmarnowania „jedyności i wyjątkowości naszego trwania w stosunku do reszty świata”.¹¹ Stanisław Ignacy Witkiewicz i Bruno Schulz, czyli według niektórych im współczesnych: „wariat” i „dziwak z prowincji” podjęli to wyzwanie. Obaj przetrwali napór zjadłej krytyki. Po kilkudziesięciu latach geniusze, którzy w twórczym dialogu, za życia nie osiągnęli kompromisu, stoją wywyższeni na parnacie historii światowej literatury XX wieku.

Żadne czasy nie są szczególne. Niepewność, rozpacz i strach, są charakterystyczne dla każdego okresu. Gdzie zaistnieje człowiek, tam zawsze wyłoni się lęk egzystencjalny. Przesłanie wynikające ze zmagania Witkacego i Schulza ma potencjał uniwersalny, a przez to jest również aktualny w naszej rzeczywistości lat dwudziestych XXI wieku. Witkacy prze-

strzega, że bez zadawania ważnych pytań porażymy się w rozpaczliwej pustce zaś Schulz, nadal szepcze do świadomości wrażliwych, że nawet w drobnych kwestiach możemy odnaleźć sens, a w konsekwencji uczynić życie bardziej znośnym.

Zmierzch lat 30. XX wieku był okresem pesymizmu, podyktowanego niestabilną sytuacją polityczną i coraz dotkliwiej odczuwanymi symptomami zbliżającej się katastrofy. Ich relacje ulegały stopniowemu rozluźnieniu, sprowadzając się do wymiany listów. Brakuje jednak materialnych świadectw, a ich istnienie jest jedynie przedmiotem domysłów opartych na zeznaniach osób trzecich. Wiadomo, że Witkacy pisał ze Schulzem jeszcze w 1938 roku, m.in. w liście z 23 kwietnia 1938 roku namawiał go do napisania sztuki teatralnej, tj. „syntezy scenicznej cynamonów”. Zachował się również list do żony z kwietnia 1938 roku, w którym wspominał o korespondencji z autorem „Sanatorium pod klepsydrą”. Prawdopodobnie ostatnia wymiana listów miała miejsce na wiosnę 1939 roku, ale jak wspomniałem brak na to fizycznych dowodów.



Bruno Schulz

1 września 1939 nastąpiła agresja Niemiec hitlerowskich na Polskę. W obliczu postępującej ofensywy wroga i faktu, że komisja lekarska uznała go za niezdolnego do służby wojskowej (ze względu na wiek i zdrowie), Witkacy zrezygnował ze wszystkich dotychczasowych priorytetów. Opuścił Warszawę i wraz z Czesławą Oknińską-Korzeniowską udał się na wschód. Przebywając we wsi Jezioro na Polesiu, 17 września dotarła do nich tragiczna wieść: na tereny Rzeczypospolitej wkroczyła Armia Czerwona. Według przekazu Czesławy Oknińskiej miał stwierdzić: „To koniec. Nie ma już ratunku dla Polski” i w panice kreślił opowieść o koszmarach rewolucji bolszewickiej. 18 września 1939 w pobliskim lesie popełnia samobójstwo, podcinając sobie żyły tętnicze. W chwili śmierci miał 54 lata.

(Dokończenie na stronie 10)

Schulz i Witkacy: intrygujący dyskurs odręb- nych światów

(Dokończenie ze strony 9)

Drohobycz w połowie września znalazł się pod kontrolą agresorów niemieckich, lecz w wyniku porozumienia z ZSRR szybko przeszedł w ręce Sowietów. Bruno Schulz próbował odnaleźć się w tych nowych realiach. Kuriozalnym zdarzeniem było jego krótkie aresztowanie przez NKWD pod pretekstem... sprzymiania ukraińskim nacjonalistom.

Mimo to pozwolił sobie na śmiało stwierdzenie, że dzięki tym historycznym zawirowaniom sowiecka okupacja przedłużyła życie pisarza na ów czas o blisko dwa lata. Zapowiedź końca nadeszła w lipcu 1941 roku, kiedy Drohobycz ponownie znalazł się pod rządami hitlerowców. Wówczas państwo niemieckie miało już do perfekcji opanowane metody prześladowań i mordów na skalę przemysłową, ze szczególnym uwzględnieniem ludności żydowskiej. Warto nadmienić, że w tym bestialstwie często współuczestniczyły patologiczne i kryminalne grupy złożone z mieszkańców anektowanych ziem, w perfidny sposób podsycane nastrojami antysemitycznymi. W „wybranej krainie”, w tej „osobliwej prowincji” – by użyć słów autora „Wędrówki sceptyka” – nie mogło być inaczej. „Republika marzeń” przepoczwarzyła się w getto. Dnia 19 listopada 1942 roku Bruno Schulz zginął od kuli niemieckiego zwyrodnialca, przeżywszy lat 50.



Bruno Schulz, „Wiosna” (Święto wiosny), 1920-1921, cliché-verre na papierze, 11,5 x 17 cm, fot. Muzeum Narodowe w Krakowie

Zgony Stanisława Ignacego Witkiewicza i Brunona Schulza stały się symbolicznym dopełnieniem katastrofizmu polskiej awangardy i epoki. Ich ziemskie bytowanie unicestwiło to, co w naturze ludzkiej najgorsze, to, czemu przez całe życie stawiali skuteczny odpór. W swojej twórczości obnażając nędzę człowieka, ale również ukazując inną, piękną i szlachetną stronę ludzkiej egzystencji. Fakt, że spoczywają w bezimiennych i nieznanach mogiłach, odbieram jako znamienny komu-

nikat dla kolejnych pokoleń: skoro za życia świat nie był ich wart, to nie jest godny, aby teraz pochylić się nad ich prochami. W tym miejscu niemal słyszę ironiczny chichot Witkacego. To jednak nie ma wpływu na ich status. W panteonie mistrzów światowej literatury trwają obok siebie, zjednoczeni i ostatecznie pogodzeni: wielcy i nieśmiertelni.

Piotr Prokopiak

¹ S.I. Witkiewicz, *Nowe formy w malarstwie i wynikające stąd nieporozumienia*, Warszawa 1919.

² B. Schulz, *Mityzacja rzeczywistości*, w: *Pisma krytyczne*, oprac. J. Jarzębski, Kraków 1973.

³ Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Wywiad z Brunonem Schulzem...*, oraz Bruno Schulz, *Księga Listów...*

⁴ B. Schulz, *Księga listów*, Wydawnictwo Słowo / Obraz Terytoria, Gdańsk 2026.

⁵ Tamże; por. także: S.I. Witkiewicz, listy do B. Schulza w: *Korespondencja*, t. 2, Warszawa 1995.

⁶ R. Jasiński, *Zmierzch starego świata*, Kraków 2008, s. 535.

⁷ B. Schulz, *Sklepy Cynamonowe*, Warszawa 1934

⁸ Witkiewicz, Stanisław Ignacy. *Teatr: wstęp do teorii czystej formy w teatrze, o twórczości reżysera i aktorów, dokumenty do historii walki o czystą formę w teatrze, dodatek: o naszym futuryzmie*. Kraków: Krakowska Spółka Wydawnicza, 1923. VIII, s. 278.

⁹ A. Chciuk, *Ziemia księżycowa. Druga opowieść o Księstwie Bałaku*, Warszawa 1989, s. 91.

¹⁰ S.I. Witkiewicz, *Wywiad z Brunonem Schulzem*, w: „Tygodnik Ilustrowany”, 1935. nr 17, s. 323

¹¹ *Witkacy. Drapieżny umysł* [Monografia zbiorowa], Instytut Witkacego, Warszawa 2023, s.153

Bibliografia dodatkowa:

Budzyński Wiesław. *Schulz pod kluczem*, Warszawa 2013.

Chciuk Andrzej. *Ziemia księżycowa. Druga opowieść o Księstwie Bałaku*, Warszawa 1989, s. 91.

Degler Janusz. *Witkacy. Portret wielokrotny*, Warszawa 2009.

Ficowski Jerzy. *Regiony wielkiej herezji i okolice. Bruno Schulz i jego mitologia*, Warszawa 2002.

Jarzębski Jerzy. *Schulz*, Kraków 1999.

Kaszuła-Dębska Anna. *Bruno. Epoka Genialna*, Kraków 2020.

Micińska Anna. *Witkacy. Życie i twórczość*, Warszawa 2018.

Schulz Bruno. *Księga Listów*, Wydawnictwo Słowo/Obraz Terytoria, Gdańsk 2016.

Schulz Bruno. *Mityzacja rzeczywistości*, w: *Pisma krytyczne*, oprac. J. Jarzębski, Kraków 1973.

Schulz Bruno. *Sklepy Cynamonowe*, Warszawa 1934.

Witkacy. Drapieżny umysł [Monografia zbiorowa], Warszawa 2023.

Witkiewicz Stanisław Ignacy. *Nowe formy w malarstwie i wynikające stąd nieporozumienia*, Warszawa 1919.

Witkiewicz Stanisław Ignacy. *Teatr: wstęp do teorii czystej formy w teatrze, o twórczości reżysera i aktorów, dokumenty do historii walki o czystą formę w teatrze, dodatek: o naszym futuryzmie*. Kraków: Krakowska Spółka Wydawnicza, 1923. VIII, 278 s.



Andrzej Gnarowski

Na drugą stronę Błękitu... (wspomnienie pośmiertne)

Świat dzieje się bez przerwy.

Więc po co rozpacz?

Zbigniew Jerzyna

29 sierpnia 2025 roku zmarł (odszedł na drugą stronę błękitu) poeta, pisarz **Andrzej Grabowski** – Kawaler Orderu Uśmiechu. Dwadzieścia lat temu poeta napisał jakby prorocze słowa – wtedy też świat z każdym dniem rodził się na nowo i w nowym świetle: „Nie, nie ma potrzeby / na drugą stronę błękitu wybierać się”. Jednak nie znamy wyjścia wobec realnej niemożliwości zatrzymania czasu. Czytamy dalej: „już ci błękit zaczyna otwierać”. Uszanujmy trud i rozważania poety podczas lektury jego wierszy – podporządkujmy pocie swój system myślenia...

Tadeusz Różewicz powiedział kiedyś, że poeta jest kimś „byłym”, „umarłym”. Według Kazimierza Wyki Różewicz „uchodzi za antytradycjonalistę, burzyciela wzorów i obowiązujących norm”.

Natomiast Wilhelm Przeczek publicysta, tłumacz kultury czeskiej – w swojej twórczości posłużył się francuską sentencją: „Jeżeli odchodzi zwykły człowiek, to jest tragedia, a jeśli umiera poeta, to kończy się ten świat. Bo kończy się z nim cała możliwość kolejnego klucza do świata, który on nosił w sobie, jak odcisk papilarny kosmosu”. Poeta z Ciężkowic, czyli z „Literackiego Olimpu”, którego przez lata widywałem na własne oczy – z tej „lekcji umierania” pozostawił dla nas testament – czyli filozofię wyznaczającą granicę pomiędzy śmiercią a życiem. Cóż, jesteśmy częścią świata – odchodzimy powoli od słonecznych ścian naszego życia. Katakumby cienia są naszą wieżą Babel. Ale radości i bólu nie sposób zatrzymać w słowach. Rozpacz, o której mówi poeta, odnajdujemy w języku emocjonalnym – w poezji. „Jakby nam znów po stracie bliskich / ranę otwarto budząc serce”. Rozpacz nie wymaga od nas tajemniczego zmysłu spraw nadprzyrodzonych „ani mistycznego ognia rozpalającego duszę”.

Andrzej Grabowski jako poeta debiutował w 1971 roku na łamach „Gazety Krakowskiej”. Debiutem książkowym był tomik wierszy: „Zabiła się jeszcze nasze sadze śniegiem” (Rzeszów 1983).

„Wujcio Andrzej” (tak nazywały go dzieci) wzbogacał swoją twórczość pisanie fraszek, satyr, felietonów, humoresek, widowisk scenicznych. Nie kwestionowany sukces osiągnął książką dla dzieci o przygodach „Wiercipiętki”, która stała się bestsellerem i wydano ją ośmiokrotnie o łącznym nakładzie pół miliona egzemplarzy. Została wprowadzona do kanonu ulubionych lektur szkolnych.

Więc jaki jest ciężar poezji? Wiersze potrzebne są w godzinach smutku i wtedy z pomocą przychodzi poeta – jakże bliski i zrozumiały dla tych, którzy przeżyli niejedną klęskę literatury – i niejedną zdradę (w latach 1983-2012 poeta opublikował 16 tomików poezji). O poecie pisali m.in.: Ernest Bryll, Andrzej Żmuda, Jan Z. Brudnicki, Emil Biela, Andrzej Dębowski, Jacek Strzemżalski, Jan Bolesław Ożóg, Leszek Żuliński, Tadeusz J. Żółciński, Stanisław Stanuch, Stefan Pastuszek, Andrzej Krzysztof Torbus, Andrzej Gnarowski. Zaprzyjaźniony z poetą Henryk Cyganik napisał coś, co tłuścio mu się po głowie: „Poezja Grabowskiego to wręcz obsesyjna wiwisekcja własnej osobowości – tej intymnej, samotniczej i tej pokoleniowej. Ta ostatnia wcale nie jest dla poety nieważna. Pojawia się raz po raz, jej motyw odnajdujemy w każdym tomiku”.

Poeta z Ciężkowic należał do tych poetów, którzy dostrzegali całe bogactwo życia – tam, gdzie czas i przestrzeń (jednocześnie zwracano uwagę na zmaganie się poety z elementami romantycznej i neoromantycznej tradycji). Wiedza i talent poety nie kończyły się na hipotezach, przenikliwość na metaforach, a pewność siebie znalazła ujście w twórczości. Grażyna Orlewska na łamach „Iskier” napisała: „Andrzej Grabowski jest celującym uczniem swego mistrza Kornela Makuszyńskiego, przypominający jednego z bohaterów – wszędzie go pełno i każdemu chce pomagać, przy tym „od rana do wieczora uśmiechnięty”.

Oczywiście nie mogło zabraknąć Andrzeja Dębowskiego naczelnego redaktora „Gazety Kulturalnej”: „Dla jednych był poetą intymnym, dla innych – realistą, który próbował nadać znaczenie najdrobniejszym gestom i chwilom (...) wierzył, że literatura nie powinna być zamknięta w salonach wielkich miast, ale że powinna docierać wszędzie tam, gdzie ludzie potrzebują kontaktu z kulturą – do małych miasteczek, bibliotek, domów kultury”.

Poeta był przede wszystkim animatorem kultury – nieodżałowanym organizatorem Międzynarodowych Jesieni Literackich – zaliczanych do czołowych imprez poetyckich w kraju – takich jak: Warszawska Jesień Poezji, Listopad Poetycki w Poznaniu, Festiwal Poezji „Poeci bez granic” w Polanicy Zdroju i konkurs Poetycki „O ludzką twarz człowieka” w Krośnicach.

Andrzej Grabowski „był zbyt złożoną istotą, żeby sprowadzić jego naturę do klarownej dialektyki, stąd ta żarliwość w jego poezji wypowiedzianej jakby jednym tchem, w rytmie sugerującym pośpiech – może to była pasja uczenia się świata i życia od początku? Bo poeta to ten, który stara się udowodnić swoją bezradność wobec świata, który tą bezradnością sprawdza świat. Zdarza się, że rozsądza świat wyobraźnią, tak jak kamienną bryłę rozsądza się dynamitem...”

Przez ostatnie lata poeta Andrzej Grabowski (1947-2025) mieszkał w Ciężkowicach z żoną Grażyną i synem Arturem (znakomitym grafikiem, projektantem wielu prac z zakresu grafiki użytkowej, plakatów, folderów i almanachów – również pisze wiersze).

Andrzej Grabowski rozstał się z Ciężkowicami, zakładając w latach siedemdziesiątych grupę literacko-plastyczną „Rydwan”, oraz kabaret „Pięte Koło”.

Był laureatem konkursu „Czerwonej Róży” (1985), Odznaczony Medalem im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruna (1984), Niezależnej Fundacji Kultury Polskiej POLCUL w Sydney (1992). Był twórcą i redaktorem naczelnym „Magazynu Literacko-Artystycznego” młodych „Iskra”. Otrzymał wyróżnienie Specjalne Nagrody Literackiej im. Władysława Reymonta za propagowanie literatury współczesnej – Warszawa (2010). Za pracę literacką i kulturotwórczą odznaczony był Złotym Krzyżem Zasługi.

W 2008 roku poeta odbył podróż do Australii i był przyjmowany entuzjastycznie nie tylko przez najmłodszych czytelników w środowiskach polonijnych pod patronatem Konsula Generalnego w Sydney. W roku 2012 poeta wraz z synem Arturem odbyli podróż do Szkocji. Należy również wspomnieć o współpracy wydawniczej ze środowiskiem twórczym Wietnamu.



Andrzej Grabowski i Dębowski
w Domu Literatury w Warszawie
– 6 października 2005

Andrzeja Grabowskiego poznałem w Wilnie na Międzynarodowym Spotkaniu Poetyckim „Maj nad Wilią”, którego organizatorem był poeta Romuald Mieczkowski (1950), poeta, publicysta, animator kultury. Od 1989 roku wydaje i redaguje w Wilnie pismo o rodowodzie niepodległościowym – „Znad Wili”. Autor kilkunastu książek.

A „maj był piękny tego roku” – w imprezie wszystko grało jak w szwajcarskim zegarku, ale grało poetycko i wrażliwie, z wieloma barwnymi odcieniami. To szczęście znaleźć się w polu działania takiej aury, a jednocześnie pod tak serdeczną opieką przyjaciół.

Do Warszawy wracaliśmy autokarem (pogoda była fatalna) w trąbach wody i gwałtownych podmuchach wiatru. Andrzej był wyjątkowo w dobrym humorze – bez wątpienia wyglądał na człowieka szczęśliwego (zaprosił mnie na kolejną edycję Galicyjskiej Jesieni Literackiej – uczestniczyliśmy z żoną w kilkunastu kolejnych edycjach). Nawiazała się między nami nić przyjaźni, która z biegiem lat nabierała coraz większej wagi. Bo przyjaźń to fenomen posiadający cechy cyklicznej powtarzalności.

W tych spotkaniach ze słuchaczami (w miastach, miasteczkach, bibliotekach, Domach Kultury) było coś ze sztuki przekaza-

zywania innym i czerpanie od nich bogactwa duchowego. Wielką rolę podczas organizacji i przebiegu udanych (ponad wszelką wątpliwość) imprez odegrała żona poety Grażyna, która była przez te wszystkie lata Dobrym Duchem i „jakby lato nam się wyrodiło w zimie / i ponownie z piasku układało daty”. Bo poezja ma to do siebie, że niejednokrotnie wykracza poza samą siebie – powstaje z ingrediencji najprzeróżniejszych drgań wymieszanych we wspólnym tyglu (ma w sobie coś z korespondencji prywatnej). Interesujący jest klimat poszukiwań poety z Ciężkowic i sposób penetracji. „Szukaliśmy odpowiedzi jak znaku na wodzie / i śladów morza czerni na bezkresnej plaży”. Empiria wręcz kompensuje wiedzę o naturze ludzkiej, a jest to wszak wiedza niebagatelna...

W 2010 roku nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej ukazał się wybór poezji Andrzeja Grabowskiego „Poezje wybrane”, do których napisałem wstęp pod tytułem „Poezja jest widzeniem świata”, a motto było z Lukrecjusza: „Pierwszy Epikur, Greczyn, trwożą nie splamił twarzy / Podniósł zuchwałe oczy, do walki stanąć się ważył”. W „Poezjach wybranych” znalazły się wiersze z dziesięciu tomików – ich układ tylko częściowo wynikał z chronologii, autor „Poezji wybranych” nie należał do twórców chcących za wszelką cenę poprawiać świat – czasem tylko sprzeczał się o przyszłość świata – wiedział, że los staje się jedynie sprawą ludzką i tylko przez ludzi określona. Nie chodzi tu już tylko o indywidualność twórcy, ale o czytelnika czyniącego zeń bohatera swego świata – dlatego jest ta liryka obroną indywidualności ludzkiego widzenia i otaczających nas zjawisk. „Aby wypełnić ludzkie serce (napisał Camus) wystarczy walka prowadzona ku szczytom”.

Tylko jak wyobrazić sobie szczęśliwego Syzyfa...

Tylko postawa poety oświeciła świat na swój sposób, aby w pełnym blasku ukazać jego twarz i raz na zawsze odkryć uprzywilejowaną i zarazem bezlitosną – ale na zawsze związaną z ludzkim losem:

*taka jasność rozdarła do bólu źrenice
można było wierzyć i ufając wątpić
w zastane światło po piekielnym mroku*

I jeszcze fragment z wiersza „Pokłosy”:

*Nasze ołtarze przykrywamy suknem
już bez kłótni o barwę i rolę kapłana
może to tylko stół powszedni będzie
z sakramentem pokuty wyszeptanym z rana*

Poeta należał do tych twórców, którzy świadomość swego miejsca na ziemi potrafili odcisnąć w swojej liryce. Widzenie świata umieszczał na szczycie swojego systemu wartości – to był świat złożony z drobnych detali, ale ogarnięty nadrealistyczną aurą. Bo to poezja litanijna, patetyczna – bliska statusowi zaklinania:

*zagrajmy w harmonię dębową bez słów
Anioł Chlebowy – Pastuszek okruszyn*

(Dokończenie na stronie 12)

Na drugą stronę Błękitu...

(wspomnienie pośmiertne)

(Dokończenie ze strony 11)

będzie uczył na pamięć czas nieokreślony

(„Spojrzenie”)

Bardziej określona przez czynnik epoki była sytuacja bezpośrednich literackich poprzedników – kiedy to doświadczenia moralne i ideowe naruszały im wspólną postawę: Ernest Bryll, Harasymowicz, Nowak, Lec – wiersze utrzymane w poetyce sennego marzenia – jakby zacierające granicę konkretności i imaginacji. A oto fragment wiersza, który objawi nam kolejną ewolucję poetyckich dążeń artystycznych. Niejedynie to napięcia, między którymi poezja ta oscyluje:

*Widziałem spuchnięte jądrowieczne ognia
blizniacze słońce wybranej planety
Nie dostrzegłem Piekła i Czyścica
(...)
Oddech szedł korzeniami
w płuca liści rozchylając usta
nie mogłem odnaleźć soczewki oka*

Z zapartym tchem śledzimy wewnętrzny porów – ze stężoną w nim energią – jest to zamiar przerzucenia napięcia na odbiorcę. Słowa opierają się w dużym stopniu na przeżyciach samego autora: „Żyjemy na pustyni bez świadectwa grzechu / wszystko jest tu co jest niczym, / nawet mogiły z czasem wiatr roznoś”. Zwróćmy uwagę – jak droga od młodości emfatycznej twórczości zdaje się być niesłychanie krótka – na plan pierwszy wychodzą motywy nie metafizyczne tylko wizualne. Żyliśmy przecież w inflacji słowa... Istnienie poezji tak wyglądało:

*A to już szron naszego lata
na skroni drzewa przytulony
dreszcz liścia po przerwanym locie
(...)
Znów przyjdzie próg powitać z chłodem
żegnając w oknie pszczołę słońca*

(„A to już...”)

W chwili, kiedy zamilknie warsztat poety demurga – zapytamy dlaczego dochodzi do głosu poczucie ograniczenia ludzkiej kondycji – ale będziemy pamiętać, że była to konfrontacja egzystencjalnego doświadczenia poety z naszym doświadczeniem i że pozostał trwały ślad na ziemi po nim połączony z grozą własnego przemijania. „Przyjaciele odchodzą – jak Adaś na wiosnę... / znów nam słowo biednie i nie chce modlitwy / ciągle za małe choć się uczyliśmy”. Wspomnienia proszą sennym makiem – pytamy: czy to był tylko teatr z gestami, maskami, zaklęciami. A może prawda tkwi jedynie w ciele – w jego słabościach – w egoistycznych namietnościach – a więc trzeba o tym pamiętać, bo nie każdy potrafi się do tego przyznać.

Nie zapomniałem o jeszcze jednym wątku (wcześnie marginalnym) o lirycie jak o momencie zmysłowej euforii, która zawsze spełnia swoją magiczną rolę będąc wyznacznikiem intelektualno-uczuciowym. Poeta doskonale wiedział, że jeżeli chcemy zmienić świat – musimy upodobnić się na wzór kobiecy – czyli ulec tajemniczemu powinowactwu dusz. A zatem wiersz „Prognoza” dedykowany żonie Grażynie odsłania zaledwie kulisy tego związku, który stał się wartością nadrzędną i absolutną. Ponieważ bohaterka liryczna wiersza stanowi źródło fascynacji poety, a siła wzruszenia kształtuje istotę teraźniejszości. Wyrazem buntu przeciwko rzeczywistości jest twórczość – a przeciwko czasowi jest przyszłość – w tym wypadku od poetyckiego anarchizmu, świadoma swoich ograniczeń kodyfikowanej przez rzeczywistość:

*Odczytuję z Twej dłoni pogodę na jutro
takie ciepło paruje z tego środka mapy
(...)
że wiara ognia jeszcze mrok przenika
jak gorący piasek pomiędzy palcami*

W naszym świecie może nie wszystko poświęca się zewnętrzności tzn. nie wszystko istnieje na pokaz. Czas poezji jest czasem psychologicznej i moralnej prawidłowości...

Nawiasem mówiąc chciałbym żeby powyższe rozważania dały asumpt do ostatecznego zrozumienia – smaków wysublimowanych i gustów otwartych na nowe systemy znaczeń i wartości: mam prawo twierdzić, iż bliska jest mi ta poezja. Zdajemy sobie sprawę, że coraz częściej poezja współczesna wymaga innego modelu czytelniczej partycypacji – i jest sztuką niełatwą, trudno przyswajalną (czy ma szansę na sprawowanie rzędu dusz?).

I tak w szybkim tempie zbliżamy się do ostatecznej wizji ludzkości, jaką roztoczył przed nami poeta. Mógł przecież powiedzieć:

„Napisałem to, co napisałem, a teraz wy się martwiecie...”

„Milczenie tłamsi znane słowa”, a przecież „słowo jest formą nieśmiertelności. Gdy człowiek umiera, jego głos milknie, ale słowa mogą dalej żyć – w książkach, w listach, w pamięci innych”.

Jakaż w tym niezgoda...

A może tak właśnie ostrzej boli światło?...

Andrzej Gnarowski



Fot. <https://www.facebook.com/andrzejgrabowski>

Marcelina Koncewicz

Zbawiciel w białym płaszczu

wszedł pomiędzy nas
zbawiciel w białym płaszczu
stoi dla niego szpaler
na wpół zgitych kończyn
straszą spod szortów
żółtozielone sińce
wystają strupy kolan
spomiędzy ud i łydek
to tylko dzieci
są też poważniejsze
kolumny mięśni
sztandary żyłaków
na których powiewa
przykrótka spódnica

wszedł pomiędzy nas
zbawiciel w białym płaszczu
grają mu płuca
na resztkach żeber
tłuką się serca
o zapadłe klatki
dostojne echo białych korytarzy
z trudem opada
kurtyną diagnozy

wszedł pomiędzy nas
zbawiciel w białym płaszczu
bez blasku – buty ma przybrudzone
ale zbadać dokładnie
każdy muskuł twarzy
oczy nabiegłe krwią i gorączką
i złowią z ust jego
każdą srebrną rybkę westchnienia
uszy przetkane ropą i wiatrem

wszedł pomiędzy nas
zbawiciel w białym płaszczu
i włożył rękawiczki

Hymn dla Krowy

Krowo brązowa
jak drzewo
z dziecięcych obrazków
Ponura Śpiewaczko
wymuszonych poranków
Samotna Matko
niezliczonych pokoleń
o najpocziwsza
Mieszkanko Obory
i najwierniejsza
Miłośniczko Zieleni
udziel nam łaski
bezpiecznej drogi
mlecznym gościńcem
Ty, Mleczna Matko
niewdzięcznych ludzkich sierot
pociesz spojrzeniem
zmęczonych pracą
Ty – na zawsze niewinna
na rzeź prowadzona

Kozetka (121)

Everyday is Christmas, everynight is New Year

*Spadające gwiazdy trafiają w ręce tych,
którzy spoglądają w niebo.*

Joanna Friedrich

Co roku Walentynki, z roku na rok wydają się inne, jak wiosna, ciągle nowa, ale zawsze powracająca, na przekór światu. Gwiazdka ma w sobie coś stałego, Wielkanoc, choć to święto przechodnie – również.

Jest Dzień Kobiet lubiany i nie, jest Noc Kupały, są święta zapomniane i mniej, jedne na drugie nakładają się, jak warstwy na torcie. Albo historycznie, nowe wynalazki zajmują miejsce zapomnianych. Źródłem zmian jest użyteczność, komercyjność, obyczaj i moda. Każdy najbardziej lubi swoje urodziny, są tacy, którzy w ogóle nie obchodzą Sylwestra, za to fascynują się chińskim nowym rokiem Ognistego Konia.

Pierwsze roztopy, gęsi wracają, do Polski przyleciał pierwszy bocian. To bardzo walentynkowa aura, nadziei i niespodzianki w jednym.

Jedne święta są bardziej romantyczne, inne mniej. Cóż, Walentynki to kwintesencja romantyczności, etapu wiary i nadziei na miłość. Są tacy, którzy już przestali/ły oglądać komedie romantyczne. A ci, którzy to jeszcze robią (choć to, jak spanie z psem, podobno robią to wszyscy, tylko nie wszyscy o tym mówią)... Otóż ci, którzy to robią, wiedzą, że w

tym gatunku, na ekranie, i na żywo chodzi o dostrzeganie niewidzialnych nici, kosmicznych sekretnych połączeń, znanym tylko zakochanym. (W kluczowym momencie pojawia się postać, która naturalnym tonem wyjaśnia postaci zagubionej, że, tak po prostu, wszystko zapisane jest w gwiazdach). Kiedy trafia cię na świeżo strzała Amora widzisz te połączenia wyraźnie, jak Spirale Fibonacciego. Unosisz się metr nad ziemią i po prostu lecisz z wiatrem, płyniesz z prądem, nie boisz się iść na żywioł. Kiedy sprawy sercowe przysłoni lekko kurz codzienności, po prostu chwilowo tracisz tę wenusjańską orientację i piszesz książkę „Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus”, na całujące pary patrzysz z niedowierzaniem, a język świeżo zakochanych staje się dla Ciebie odrobinę zbyt słodki.

Potem przychodzi kwiecień, wachasz bzy i znowu zaczyna ci coś świtać. Przychodzi maj i, na powrót, wszyscy są zakochani. Potem czas wakacyjnych miłości, które same w sobie są szkołą dla adeptów ars amandi... Ile z nich przetrwa do następnych Walentynek? Jak to się dzieje, że wciąż na świecie istnieją pary, które są ze sobą kilkadziesiąt lat. Trzymają się za ręce, chociaż nawet nie posiadają konta na Instagramie... Bezinteresowność i zaufanie.

Motyle w brzuchu... i dzieci przy stole, a za chwilę wnuki, dopytujące, kiedy wreszcie będą te ich urodziny, przyjdzie wreszcie ten zając i odwiedzi ich ten Święty Mikołaj.

Nurt miłości, na pierwszy rzut oka niewidziany, unoszący wszystko i wszystkich...

Uważajcie na roztopy, Kochani!



Marcin Kurcbuch

czemu budda jest biały

przestrzeń to biała kartka
zaczepiona o krawędzie bytu
z niej rodzi się cisza
a myśl ma swój początek

stąd przychodzi boskość
wypełniona pustka
wypustniała pełnia

wyłania się niebo
nie podtrzymują go drzewa
filary ziemi

w sercu słodkim niczym rafaello
miesza się kolory
biel – człowiek ptak stół
żółć – bogactwo nasycenie
czerwień – pożądanie zazdrość
błękit – struktura porządek
zieleń – talent gotowość
wszystkie skupiają się w punkcie
na czubku nosa

spod uniesionej wargi
rozlewa się świetlista kula
słowo które wypowiesz
nim powołasz do istnienia
pierwszy ludzki alfabet

sen o człowieku

ślady zaciera mleczna mgła
unosi się tuż za tobą
zamazuje ludzi
zaczynając od stóp
pnie się wzdłuż kręgosłupa
aż przestajesz być pewny
czy naprawdę kogoś znałeś
czy to był jedynie sen o człowieku
enigmatyczny hologram
wyobrażenie boskiej istoty
zamieszkującej chwilowe ciało

widma krążą dookoła
zapomniane relacje zgubione przyjaźnie
skraplają się w eterze
obiegają świat w procesie parowania
po latach wracają
w postaci deszczowych kropeł
na twoim czole

nieporuszony

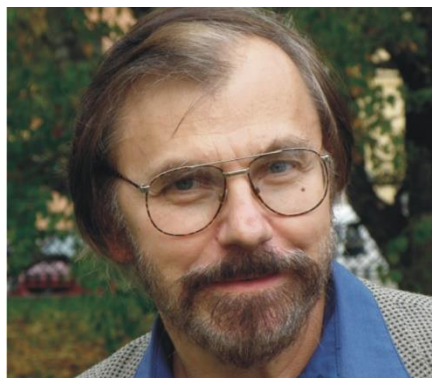
góra wypiętrza się w miejscu
w którym chce osiąść
stanowi o sobie przez wieczność
wyrasta z ziemi
i wrasta w ziemię
swoją górowatością

dąb oznajmia górze
góro wybieram ciebie na miejsce do życia
zapuszczam korzenie w twojej łaskawości
zostań moim źródłem aż za pięćset lat
pęknie we mnie wewnętrzne drzewo

człowiek buduje dom na górze
odpoczywa pod drzewem
gdy otwiera serce słyszy dialog
największych mistrzów
uczy się jak pozostać nieporuszonym
w umyśle który zrodził się na chwilę



Listy do Pani A. (212)



Fot. Andrzej Dębowski

Sentymenty i złośliwości

Droga Pani!

Wiosna już się zbliża, jeszcze trochę opieszale. Jednak pomimo wszystko należy oczekiwać jej z nadzieją. Przyznam się Pani, że czekam, choć z pewnego powodu nie lubię marca: z powodu zmiany czasu na tzw. „letni”. Jest nienaturalny, zakłóca porządek astronomiczny. Oczywiście potem się przyzwyczajam, ale i tak z ulgą witam na jesieni czas normalny, czyli „zimowy”.

Ale teraz wyglądam ciepłych dni, wiosny, lata, wyjazdu na wakacje.

Bo inaczej patrzy się na świat, kiedy robi się ciepło i „zmarłychwstaje” roślinność. Młode liście na drzewach są tak czyste jak nadzieja. Ale to jeszcze jakiś czas potrwą, zanim podzielę się z Panią wrażeniami w pełni wiosennymi. Ale ten miesiąc nie darmo nosi nazwę pochodzącą od marzeń.

Nie wszystko jednak jest marzeniem. Przeżywaliśmy z Anią niedawno rewolucję i urwanie głowy. Używam liczby mnogiej, ale jak zwykle najbardziej obciążone były Ania i jej mama. Sprawa wyglądała następująco: babcia Ani przewróciła się w łazience. Poleciała na twarz, uszkodziła sobie żuchwę a także złamała nadgarstek. Dziadek zadzwonił zaraz na pogotowie. Zabrano ją natychmiast do szpitala. Wszyscy się zdenerwowali, bo jeszcze nie wiedzieliśmy jaka była przyczyna tego upadku. Okazało się na szczęście, że to nie jakiś wylew czy udar. Zszli od wewnątrz dolną część jamy ustnej, na nadgarstek założyli gips. Chcieli operować rękę, ale się babcia nie zgodziła.

Zaraz wsiedliśmy w samochód i pojechaliśmy do Trzebnicy, bo staruszkowie tam mieszkają. Około 16.00 wypisali babcię do domu. Ponieważ dziadka nie można samego zostawić, bo sobie nie da rady, nie zakręci kranu albo – co gorsza – zostawi gaz. A więc zapakowaliśmy cały „pęczek dziadków” do merivy i przywieźliśmy do nas. Sytuacją najbardziej zdziwiony był kot.

A potem dalsze „przyjemności” w postaci powtarzających się sensacji sercowych u babci. Pogotowie – szpital – pogotowie, i tak kilka razy. Nasze „opiekuńcze” jazdy rozwalili wszystkie plany, ale ostatecznie można było wytrzymać. Ania liczyła, że odpocznie, a tu biegania do szpitala, peregrynacje tam i z powrotem, nerwy. Ale potem trochę się uspokoiło, choć co najmniej kilka tygodni trwała ta nasza opieka nad „dziadkostanem”. Zdałem Pani relację, co u nas się działo. A działo się dużo lecz może mało ciekawie z punktu widzenia postronnych obserwatorów. I tak się nam mazał marzec.

A więc jeździliśmy z Anią do szpitala, chodziliśmy też do sklepów. Pewnego dnia Ania weszła po zakupy, a ja stałem przed sklepem obłożony torbami napełnionymi gdzie indziej. Obok handlowała jakaś przekupka. Obrzuciła mnie badawczym, złym spojrzeniem, i spytała z gniewem: „a co pan tu sprzedaje?” Niewiele myśląc wypaliłem: „ciało”, a widząc jej zaskoczenie wyjaśniłem ze stoickim spokojem: „ale tylko na kartki”. Babę zatkało.

Aby uciec od codzienności czytam biografię Jana Nowickiego. Przedstawione jest tam artystyczne środowisko krakowskie, barwne, oryginalne. Żal, że już to wszystko przeminęło; że nie ma tak wyrazistych osobowości, i to zgromadzonych w jednym miejscu. Zresztą środowiska warszawskie, wrocławskie czy gdańskie również były inne niż dziś. Atmosfera, którą z wczesnej młodości dobrze pamiętam, też była inna. Teraz świat jakby się skurczył i zastraszony zamilkł. Ech, spostrzeżenia starego dziada. Ale tak mam.

Mieliśmy wtedy tę szczęśliwą sposobność – myślę o ludziach z mojego pokolenia, bo przecież Pani jeszcze nie było na świecie – że mogliśmy od dzieciństwa choć poobserwować nietuzinkowe osobowości, zauważyć jakieś szczegóły. Jak choćby wypijanie jacek z wysokiej szklanki, co czynił Wajda, o czym opowiadał mi kolega-poeta z Krakowa. Jeszcze się nie myślało o „przynależności” do środowiska, ale już się człowiek z tym wszystkim oswajał, przysłuchiwał rozmowom i dyskusjom, bon motom, i tak powstawały wczesne wspomnienia. Do mojego liceum przyjeżdżał Roman Brandstaetter, Jan Dobraczyński (z którym później byłem zaprzyjaźniony). Szkolny teatr prowadził Adam Mularczyk (jego syn, też Adam, był w tym samym liceum o klasę wyżej ode mnie). W każdym razie powoli się nasiąkało specyficzną atmosferą jaką ci ludzie roztaczali, podpatrywało się sposób bycia, oswajało z oryginalnymi osobowościami. Jeszcze w szkole chodziłem do „Czytelnika” i do Związku Literatów Polskich. To wszystko, wraz z domem, kształtowało przyszłą indywidualność. Taki syndrom nasiąkającej skorupki. A dzisiaj? Już nie chcę narzekać... Spostrzeżenie Wisławy Szymborskiej, że społeczeństwo głupieje hurtowo, a mądrzej detalicznie brzmi proroczo. Zdumiewa brak dystansu i poczucia humoru, najważniejsze jest rycerzykowanie, buńczuczny pseudopatriotyzm, śmieszna, prymitywna religijność na

pokaz, wrzask „Boże coś Polskę”. Nie pamiętam, który to z międzywojennych poetów sparafrazował ten hymn „barze coś Polskę”, za co został przez władze sanacyjne aresztowany. Przed poważnymi konsekwencjami(!) wybrocił go Bolesław Wieniawa-Długosławski. Podobna katopolackowata mentalność do dziś wlecz się za nami jak smród. Absurd goni absurd. Ostatnio wybuchła sprawa krzyża w szkole rzekomo wyrzuconego przez nauczycielkę do śmieci. Podobno to był tylko zabawkowy gadżet, ale motłoch ruszył pełną parą, razem z głupimi, nadętymi władzami i spasionymi hierarchami. Wyrzucono jakąś zabawkę, a zrobiła się z tego afera na cały kraj. Prymitywne pojmowanie religii, jakby to było tylko jakieś hokus-pokus i wiara w talizmany. Ale dla zbijania politycznego kapitału wszystkie chwytły dozwolone.

Dlatego z takim sentymentem przenoszę się do Krakowa Piotra Skrzyneckiego, Starego Teatru, zabaw ówczesnego środowiska artystycznego. Żal, że to wszystko przeminęło. Niby jest „wolność”, a ludzie tacy jacy zastraszeni, poza tym brak takich osobowości, jakie były kiedyś. To widać i w naszym światku literackim, coraz bardziej snobistycznym, bo przecież teraz każdy z osobna jest posiadaczem kamienia filozoficznego. Chyba jednak nagrobne. Tylko nie ma odpowiedniej procy, aby ten kamień precyzyjnie wystrzelić. Ani przede wszystkim wiedzy, w co wycelować.

A ostatnio jacyś analfabeci z zapadłych dziur dorwali się do „poprawiania” języka i ortografii, by z prymitywnego punktu widzenia troglodytów stał się bardziej „elegancki”. Dziwię się absurdalnym zmianom ortografii. Np. nazwy samochodów – dużą literą. A zamiast warszawiak, to Warszawiak... Przecież to nieistotne, a sprawia zamieszanie. Po co? Świat rzeczywiście zwariował, zresztą nie od dziś.

Na temat „poprawności językowej” powstało wiele wesołych memów. Na facebooku pokazano np. okładkę: „Stefan Żeromski: Osoba siłująca”. Inna wygenerowana prześmiewczo okładka: „Ali Osoba i czterdzieści osób z doświadczeniem robójniczym”. To memy, ale w rzeczywistości według przepisów nie można dać ogłoszenia: „poszukuję kierowcy” tylko „osoby prowadzącej samochód”, itp. Nie wolno bowiem sugerować płci (puci, jak mówi osoba uchodząca u nas za number one), bo to dyskryminacja! Zaczęto też mówić w telewizji, że trzeba coś dać „ludzią”, podwyższyć pensje „inżynierą”. Kiedyś Pani o tych dziwolągach już wspominałem. A wymyślają to najprawdopodobniej „osoby z syndromem idiotycznym”. Możemy się zżywać, ale jednak to wszystko lepsze niż naloty dronów.

Niezmiennie Pani życzę przedwiosennego spokoju i nadziei. A ten list podpisuję z nowoczesną hiperpoprawnością –

Osoba Stefanująca Jurkowskująca

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Między kloszardem a Marią Szaloną

O czulej ontologii „Wyspy tańczących kotów” Jana Stępnia

Twórczość Jana Stępnia od wielu lat sytuowana jest na osobnym torze współczesnej poezji polskiej, daleko od dominujących mód, strategii autopromocyjnych i eksperymentów formalnych podporządkowanych efektowi. „Wyspa tańczących kotów” stanowi w tym sensie tom szczególnie, bo zarazem podsumowujący i pogłębiający najważniejsze wątki jego poetyckiego świata, a jednocześnie odsłaniający je w formie niemal ascetycznej, zredukowanej do elementarnych gestów języka.

Andrzej Dębkowski

Jest to poezja, która nie chce imponować, nie chce błyszczeć erudycją ani formalną wirtuozerią; przeciwnie – konsekwentnie wybiera drogę prostoty, ryzykując niezrozumienie, a nawet lekceważenie ze strony czytelnika przyzwyczajonego do ironii, gry intertekstualnej czy semantycznego nadmiaru. Tym większa jednak siła oddziaływania tej książki, bo prostota u Stępnia nigdy nie jest naiwnością, lecz efektem długiej drogi twórczej, świadomego wyboru etycznego i estetycznego.

Biografia autora – obejmująca prozę, dramat, rysunek, rzeźbę, działalność międzynarodową i obecność w różnych środowiskach artystycznych – nie jest tu jedynie dodatkiem informacyjnym. W „Wyspie tańczących ko-

tów” czuć doświadczenie człowieka, który widział wiele światów i potrafi się w nich poruszać bez potrzeby dominowania nad nimi. Stępień nie mówi z pozycji mistrza ani nauczyciela; raczej z pozycji wędrowca, obserwatora, kogoś, kto „idzie” – często dosłownie, jak jego kloszardzi, bezdomni, włóczędzy – i zapisuje to, co spotyka. Jego poezja jest zapisem drogi, ale drogi pozbawionej spektakularnych punktów orientacyjnych. To raczej ciąg małych zatrzymań, spojrzeń, milceń, krótkich rozmów, które nie prowadzą do jednoznacznych konkluzji, lecz pozostawiają w czytelniku delikatny osad refleksji.

Jednym z najbardziej wyrazistych tematów tomu jest figura poety i pytanie o sens poezji we współczesnym świecie. Wiersz „Poezja” otwiera ten problem w sposób niemal anegdotyczny, a zarazem niezwykle znaczący. Pytanie „Kto dziś czyta wiersze?” zawieszone „na gwoździu milczenia” powraca jak refren egzystencjalnego zwątpienia. Odpowiedź „Wrażliwi ludzie” jest nieśmiała, jakby sam poeta nie był pewien jej wystarczalności. Ten dialog z Nieznajomym nie jest jedynie zapisem zewnętrznej rozmowy, lecz dramatem wewnętrznym – próbą usprawiedliwienia sensu własnego pisania. Milczenie, które następuje po pytaniu, staje się tu równoprawnym elementem wiersza, a może nawet jego istotą. Stępień od początku jasno sugeruje, że poezja nie jest domeną masową, że jej adresatem jest ktoś, kto potrafi zatrzymać się i słuchać ciszy.



Rys. Jan Stępień

Ten wątek zostaje rozwinięty w wierszu „Poeta”, który można czytać jako swoisty manifest, ale manifest pozbawiony patosu. Definicja poety jest tu negatywna: nie ten, kto siedzi przy biurku, nie ten, kto drukuje wiersze, nie ten, kto mówi o sobie. Poeta to „wieczny wędrowiec”, ktoś, kto „z księżycem się wadzi”, kto „z kloszardem milczeniem rozmawia”. Ta definicja przesuwając akcent z produktu (wiersza) na postawę życiową. Poezja przestaje być rzemiosłem literackim, a staje się sposobem bycia w świecie. W tym sensie „Wyspa tańczących kotów” jest książką głęboko etyczną,

choć pozbawioną moralizatorstwa. Stępień nie poucza; pokazuje, że uważność, empatia i zdolność do milczenia są wartościami, które konstytuują zarówno poetę, jak i człowieka.

Motyw kloszarda, bezdomnego, wykluczonego powraca w tomie wielokrotnie i pełni funkcję znacznie szerszą niż społeczny komentarz. Wiersze „Wolny człowiek”, „Kloszard”, „Idę...”, „Biedni i bogaci” układają się w swoisty cykl, w którym bezdomność staje się figurą egzystencjalną. Kloszard Stępnia nie jest jedynie ofiarą systemu; bywa kimś, kto posiada wiedzę niedostępną ludziom „ustawionym”. Jego wolność – niepięcenie rachunków, brak podatków – ma wymiar paradoksalny i gorzki, ale zarazem demaskuje iluzoryczność porządku społecznego. Gdy kloszard mówi, że „czeka na Sąd Ostateczny”, aby „wygarnąć całą prawdę Panu Bogu”, słychać w tym nie tylko bunt, lecz także przekonanie o własnej godności. Stępień konsekwentnie przywraca głos tym, którzy zwykle milczą, albo których milczenie jest ignorowane.

Jednocześnie poeta nie idealizuje biedy ani wykluczenia. W „Biedni i bogaci” pojawia się obraz biedy, która „nie ma sił by wyjść na ulicę i krzyczeć”, która „czeka cierpliwie na ciepłe lato”. To jeden z najbardziej przejmujących fragmentów tomu, bo pozbawiony jakiegokolwiek retorycznej ostrości. Bieda nie protestuje, nie manifestuje – po prostu trwa. Ten obraz kontrastuje z oficjalnym dyskursem sukcesu, nowoczesności, obfitości. Stępień nie potrzebuje statystyk ani publicystycznych argumentów; wystarczy mu jedno zdanie, by odsłonić fałsz triumfalnych narracji.

Obok tematów społecznych bardzo silnie obecny jest w tomie motyw walki, ale walki rozumianej nie jako droga do zwycięstwa, lecz jako konieczność istnienia. Wiersz „Walczyć” jest pod tym względem znamienity: „To nic, że przegrasz”. Smak zwycięstwa może być „tak gorzki jak smak porażki”. To przesunięcie akcentu z rezultatu na sam akt zmagania wpisuje się w etos Don Kichota, którego Stępień przywołuje w wierszu „Rozmowa”. Don Kichot wie, że „ludzi budzi się długo”, ale mimo to nie rezygnuje. Poezja jawi się tu jako forma quijotyzmu – świadomego działania wbrew oczywistościom, wbrew cynizmowi świata.

Bardzo ważnym, być może centralnym wątkiem „Wyspy tańczących kotów” jest problem milczenia i słowa. Wiersze „Skaleczona cisza”, „Milczenie”, „Słowa”, „Są...”, „Nowa lekcja” tworzą rodzaj filozoficznej medytacji nad językiem. Stępień nie ufa słowom bezwarunkowo; wie, że mogą ranić, budować mury, kłócić ciszę. Jednocześnie nie rezygnuje z nich – przeciwnie, próbuje je oczyścić, sprowadzić do ich pierwotnej funkcji: komunikowania tego, co najdelikatniejsze. Postulat „naucz się mówić milczeniem” nie jest wezwaniem do rezygnacji z mowy, lecz do odpowiedzialności za każde wypowiedziane zdanie. Cisza u Stępnia nie jest pustką, lecz przestrzenią sensu, w której „słysząc nasze myśli i nasze pragnienia”.

Ten etos uważności i czułości szczególnie wyraźnie objawia się w wierszach poświęconych naturze i rzeczom pozornie nieistotnym.

(Dokończenie na stronie 16)

Między kloszardem a Marią Szaloną

O czulej ontologii „Wyspy tańczących kotów” Jana Stępnia

(Dokończenie ze strony 15)

Liść zaproszony na zimę do ciepłej chaty, zmęczony motyl, który staje się „bratem”, kamień będący „mistrzem cierpliwości”, drzewa i wiatr uczestniczące w subtelnych relacjach uczuciowych – wszystko to tworzy świat, w którym granica między ludzkim a nie-ludzkim zostaje zatarta. Stępień nie antropomorfizuje natury w sposób naiwny; raczej przywraca jej podmiotowość, zdolność do bycia partnerem w dialogu. To poezja głęboko ekologiczna w sensie duchowym, wolna od ideologicznych deklaracji, a zarazem niezwykle aktualna.

Osobnym i kluczowym obszarem tomu jest cykl wierszy poświęconych Marii Szalonej, który należy czytać jako najbardziej otwarcie autobiograficzną część „Wyspy tańczących kotów”. Maria nie jest tu wyłącznie figurą symboliczną ani literacką maską – jest żoną Jana Stępnia, realną towarzyszką jego życia, a zarazem centralnym punktem emocjonalnym tej książki. Wiersze te powstają z bezpośredniego doświadczenia bliskości, wspólnego trwania, codzienności przeżywanej razem, z jej rytuałami, lękami, czułościami i drobnymi zachwykami. Autobiografizm nie ma tu jednak charakteru wyznania ani ekshibicjonizmu; przeciwnie – zostaje przefiltrowany przez delikatność spojrzenia i język metafory, który chroni intymność, a jednocześnie pozwala ją uniwersalizować.



Rys. Jan Stępień

Maria Szalona jest żoną-muzą, ale nie w romantycznym, uprzedmiotawiającym sensie. Jest partnerką dialogu, osobą równorzędną, żywą, zmienną, nieprzewidywalną. Jej „szaleństwo” oznacza sprzeciw wobec świata uporządkowanego według chłodnych reguł, wobec racjonalizmu, który nie umie pomieścić emocji, tańca, zabawy, dziecięcej ciekawości. W ten sposób Maria staje się także lustrem dla samego poety – to przy niej i dzięki niej możliwe jest zachowanie wrażliwości, zdolności do zdumienia, do życia poza schematem. Wiersze o Marii są więc zapisem relacji małżeńskiej rozumianej jako wspólna droga, w której miłość nie jest stanem statycznym, lecz ruchem, tańcem, ciągłym odnawianiem obecności.



Rys. Jan Stępień

Autobiograficzny wymiar tych utworów ujawnia się również w drobiazgach: w tygodniowym rytmie dni, w podróży, w rozmowach z przedmiotami i roślinami, w czułym humorze i w momentach niepokoju. Maria bywa kapryśna, zalekciona, roztańczona, skupiona, śniąca i pisząca – dokładnie taka, jaka bywa bliska osoba, widziana bez idealizacji, ale z miłością. Wiersze te pokazują, że prywatność u Stępnia nie służy autokreacji, lecz jest przestrzenią prawdy, w której poezja wyrasta z życia, a życie zostaje ocalone przez poezję. Dzięki temu cykl Marii Szalonej stanowi emocjonalne serce tomu – miejsce, w którym intymność staje się uniwersalnym doświadczeniem bliskości, a małżeństwo zostaje zapisane jako jedna z najbardziej elementarnych form wspólnego istnienia w świecie.

Kulminacją tej poetyckiej wyobraźni jest tytułowa „Wyspa tańczących kotów”. Ten obraz ma w sobie coś z dziecięcego snu, utopii, miejsca, do którego chce się uciec, ale które istnieje być może tylko w marzeniu. Tańczące koty, księżyc, senny blues – wszystko to tworzy atmosferę łagodnej melancholii. Wyspa nie jest celem podróży; jest pragnieniem, projekcją tęsknoty za światem, w którym ruch, taniec i bezruch współistnieją harmonijnie. To jeden z tych obrazów, które zostają w czytelniku na długo, nie domagając się interpretacyjnej przemocy.

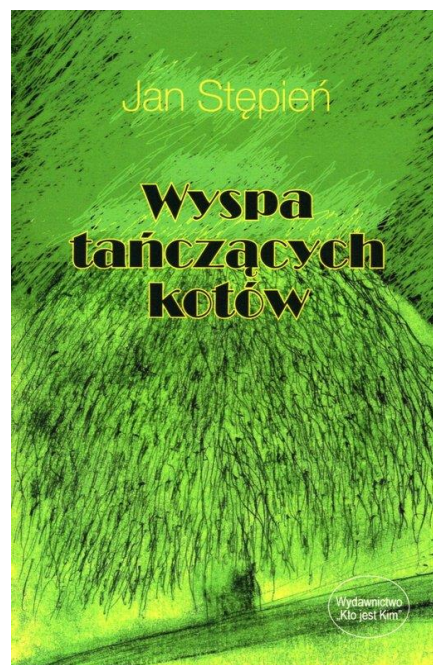
Ważnym, bardzo osobistym tonem w tomie jest wiersz „Ojciec”. To krótki, ascetyczny zapis snu, w którym pojawia się wstyd, poczucie winy i nieodwracalność straty. Stępień nie rozwija tej sceny, nie tłumaczy jej psychologicznie. Wystarczy kilka wersów, by odsłonić dramat niemożności przeproszenia, który jest jednym z najbardziej uniwersalnych ludzkich doświadczeń. Ten wiersz pokazuje, że poezja Stępnia – choć często cicha i pogodna – potrafi

dotykać najośniejszych punktów egzystencji.

„Wyspa tańczących kotów” jest także książką o przyjaźni i samotności. Drzewo i pies słuchają uważnie i milczą taktownie; człowiek często nie potrafi ani jednego, ani drugiego. To gorzka, ale nie oskarżycielska diagnoza. Stępień nie traci wiary w człowieka, ale przypomina o konieczności uczenia się relacji od istot, które nie mówią – albo mówią inaczej.

Na końcu tomu pojawia się wiersz „Moja Ojczyzna”, który zamyka całość w tonie spokojnej afirmacji. Ojczyzna jako krajobraz, jako język, jako przestrzeń sprzeczności – ostrych słów i łagodnych uniesień – nie jest tu fetyszem ani ideologicznym hasłem. Jest czymś żywym, delikatnym, wymagającym troski. W tym sensie cały tom można czytać jako akt lojalności wobec świata, który mimo swojej niedoskonałości zasługuje na uważne spojrzenie. „Wyspa tańczących kotów” nie jest książką, którą czyta się szybko. Jej siła polega na powolności, na zgodzie na pauzę, na przyjęciu ciężej jako pełnoprawnego elementu lektury. To poezja, która nie konkuruje o uwagę, lecz ją zaprasza. W czasach nadmiaru słów i obrazów tom Jana Stępnia jawi się jako propozycja alternatywna, a zarazem niezwykle potrzebna: powrotu do elementarnych pytań o sens, relację, obecność. Jest to książka skromna i odważna jednocześnie, cicha, ale długotrwale rezonująca. Jeśli istnieją jeszcze „wrażliwi ludzie”, o których mowa w pierwszym wierszu, „Wyspa tańczących kotów” z pewnością jest napisana właśnie dla nich.

Andrzej Dębowski



Jan Stępień, *Wyspa tańczących kotów*. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemiński. Opracowanie graficzne: Iwona Polańska. Grafiki: Jan Stępień. Korekta: Grzegorz Bogucki. Wydawca: Wydawnictwo „Kto jest Kim”, Warszawa 2025, s. 62.

Mistrz uczy się od nowa

Nowy tom wierszy **Marcina Kurbuch**, zatytułowany „czemu Budda jest biały”, stanowi swego rodzaju kontynuację drogi literackiej Autora, którą śledzimy w jego dotychczasowych zbiorach. Już sam tytuł tomu określa zainteresowania Autora; w centrum uwagi jest tu człowiek i jego duchowa, mentalna kondycja. Zauważmy, że tytuł nie jest pytaniem, lecz raczej stwierdzeniem, którego uzasadnienie wybrzmiewa wierszami. Tomik podzielony jest na dwie części, które, na swój użytek (choć mają inne tytuły), nazwałem Poszukiwaniem i Odpowiedzią. W części pierwszej Autor skupia się na zadaniu sobie najprostszego, lecz i najtrudniejszego zarazem pytania: kim jest Człowiek? Czy konstytuuje go – nierzadko trudna i bolesna – przeszłość, teraźniejsza emocja, czy też oczekiwanie na, miejmy nadzieję, lepszą przyszłość? Czym w istocie jest człowieczeństwo i co czyni nas ludźmi? A może jest to droga, którą można, warto i przede wszystkim trzeba przejść, by móc sobie miano człowieka przypisać? Cóż bowiem określa każdego z nas jako człowieka w humanistycznym, ale i moralnym sensie – istotę mozołnie dźwigającą się ze ściśle ograniczonego, biologicznego bytu zwierzęcia, związaną czasem i materią z „tu i teraz” (poprzez wszystkie etapy pośrednie tego nigdy niekończącego się procesu) do transcendentnej, wiecznej i niepoddającej się rozumowi i poznaniu Boskości? Te fundamentalne pytania formułują się i wybrzmiewają w lirycznej, rzecz nawet można onirycznej, materii wiersza, jak choćby tu: *bez wstydu kruszymy gliniane powłoki / by dotrzeć do mięsistych prawd / płynących z prądem krwi / wpatrzeni wstuchani wczuci / wżyci w siebie*.

Ciekawe pytanie „jak ulepić człowieka” pojawia się wierszu „przyjaźń albo jak ulepić człowieka” dedykowanym Magdalenie:

*pytasz jak ulepić człowieka
ze skryptów dialogów manier
przyoblec w emocje
przyznałaś że bohaterowie
nie zawsze świecą przykładem
wzięc czcionkę zmieniasz w krew
płynącą w nieoczywistych żyłach*

Podstawowym i jedynym wartym za chodu celem jest pogodzenie się z samym sobą, z przeszłością, swoimi emocjami i niedoskonałościami, które – jak nic innego – czynią nas ludźmi, zdaje się mówić Autor. Ta jakże cenna, wręcz fundamentalna teza wybrzmiewa choćby w wierszu „koło samsary”:

*kiedyś odkryjesz śmieszność
każdej osądzającej wypowiedzi
która zamyka koło i każe dalek wędrować
przez piekielne równiny
z boga przeobraża cię w zwierzę*

Wiersz zwieńczony jest pointą, którą na szczęście można uznać za (jakże kruchą i niepewną!) obietnicę wyzwolenia od nieskończonego samoudręczenia: *ponoć istnieje sposób / by się pozbyć uwarunkowań / i uwolnić od cierpienia*.

W buddyzmie Samsara to cykl przemian, któremu podlegają wszelkie byty i zjawiska włącznie z naszymi myślami, uczuciami i ciałami. Jest to odwieczny proces tworzenia i upadku. A zatem wyzwolenie z Koła Samsary to nic innego, jak uwolnienie się od cyklu reinkarnacji, powtarzanego wcieleniami duszy w coraz to nowe ciała. Znajdziemy to w wierszu „nasłuchiwanie”: *doprawdy śmieszne mają wyobrażenia / ludzie urodzeni z koła czasu*. Wbrew przekonaniom niektórych ludzi, wszyscy jesteśmy jednym – jednakowo krwawimy, przeżywamy cierpienie i rozkosz, czy wreszcie mniej lub bardziej skrywane kompleksy, traumy i uprzedzenia: *każdy z syndromem ofiary / każdy z syndromem oprawcy („pod pokrywką”)*. I choć doczesne życie rozrzuca nas po współczesności w różnych kierunkach, rozdając cierpienia i nagrody (zdaje się) zupełnie przypadkowy sposób, niewspółmierny do zasług, talentów i wysiłków, wszyscyśmy jedni z naturą, z której wyrastamy i do której ostatecznie wracamy. Spójrzmy na podmiot liryczny w wierszu „zakłęcia i modlitwy”, który nawołuje aby *otworzyć umysł*, a potem:

*stopy złączyć korzeniami
z najstarszą macierzą
początkiem początków
która pamięta
każdą modlitwę miłości
a szamański śpiew wibruje
w ziemistych trzewiach
przez tysiące lat
nasyca głodne dzieci
starcom przynosi dom*

Na drodze samorozwoju natura staje się również naszym mistrzem, o czym Autor jest przekonany przywołując dialog góry z dębem w wierszu „nieporuszony”:

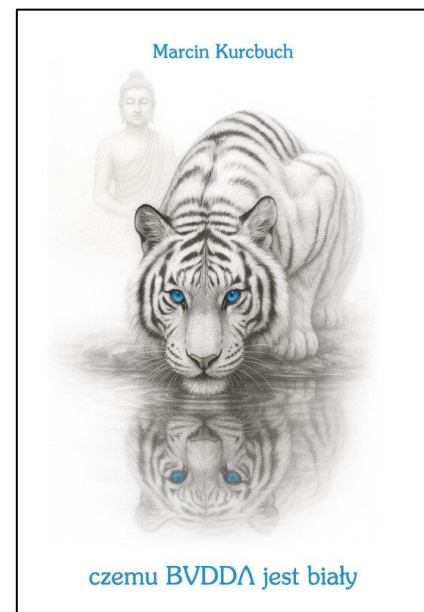
*człowiek buduje dom na górze
odpoczywa pod drzewem
gdy otwiera serce słyszy dialog
największych mistrzów
uczy się jak pozostać nieporuszonym
w umyśle który zrodził się na chwilę*

Poszukiwania siebie i wartości, za którymi warto podążać, czasem może też prowadzić krętymi ścieżkami w miejsca nieciekawe, czy wręcz niebezpieczne. Znajdziemy tego wyraz w kolejnym wierszu „spacerem po mediach”: *w facebookowych pustostanach / najgłośniejsi krzyczą awatary / pozabawione wewnętrznej spokoju / lepiej nie wypuszczać się na spacer / pomiędzy okopami / w bitwach o rację*.

Autor słusznie też zwraca uwagę na jedną z mentalnych plag, jakie trapią ludzkość od tyśiądeci, żerującą na, skądinąd szlachetnych, uczuciach, np. takich jak religijność – a imię jej „fanatyzm”: *potrafi nazwać cię swoim dzie-*

ciem / umiłowanym grzesznikiem / w białych szatach wiedzy / nad przepaść / skąd masz wykonać skok / wraz z tymi którzy w ciągu wieków / stali się wybrańcami (z wiersza „fanatyzm”).

Pierwsza część tomu to swego rodzaju metaanaliza prawdy, za którą podąża każdy z nas – mniej lub bardziej twórczo, świadomie, albo też instynktownie, nazywając ten proces intuicją, światłem lub samopoznaniem, próbując dociec kim jest jako człowiek. W „nieoczywistej” podmiot liryczny pointuje wiersz tymi słowami: *wciąż poszukuje siebie / i przemawia źródłanym głosem / przywołując odwieczne córki*.



Odwołanie do Buddy, jako bytu w powszechnej percepcji będącego uosobieniem samopoznania i samorozumienia, jest tu raczej pretekstem, czy raczej zaproszeniem do dokonania swobodnego rozrachunku z samym sobą, z przeszłością, która każdemu w ten czy inny sposób ciąży; jest też próbą odpowiedzi na jakże fundamentalne, a zarazem najtrudniejsze pytanie: czy podążam za sobą i w zgodzie ze sobą? Czy uwolniłem się od gnębiących mnie demonów, kłamstw i podszeptów ego? Czy jestem kimś, kto potrafiłby stanąć przed tytułowym Buddą w spokoju ducha, ugruntowany i pogodzony z przeszłością? Warto w tym miejscu zacytować zapytanie z wiersza „sen o człowieku”: *czy to był jedynie sen o człowieku / enigmatyczny hologram / wyobrażenie boskiej istoty / zamieszkujące chwilowe ciało*.

Gdy mamy już za sobą etap Poszukiwań (część pierwsza zbioru), pora na znalezienie Odpowiedzi, których możemy poszukać w części drugiej. Nie będzie to jednak łatwe, gdyż, jak twierdzi Autor, tej ultymatywnej, ostatecznej odpowiedzi... po prostu nie ma. Życie i poszukiwanie jego sensu ma naturę holistyczną – gdy wydaje ci się, że wreszcie pojąłeś sens żywota, docierasz do punktu, w którym orientujesz się, że twoje, z takim tru-

(Dokończenie na stronie 18)

Mistrz uczy się od nowa

(Dokończenie ze strony 17)

dem i wyrzeczeniem znalezione, odpowiedzi nie znaczą nic i musisz zabrać się za poszukiwanie prawdziwej wartości. Tylko czym jest prawda? Jedyne kolejnym zakretem na ścieżce samopoznania? Aby zaś w ogóle podjąć próbę dotarcia do niego, warto rozliczyć się z emocjami własnej przeszłości, przeanalizować je, zrozumieć i w końcu przyjąć do swego najgłębszego serca. Mówi o tym np. wiersz „pogłębianie”:

*kim był ten człowiek
który umarł we mnie wczoraj
kim jest ten który dzisiaj pisze wiersze [...] kim będzie u schyłku życia
czy powie znałem siebie
wiem kto we mnie mieszkał*

Jednym z kluczowych aspektów człowieczeństwa, bytu przeżywanego naprawdę, jest samoświadomość – rozumiana jako umiejętność wątplenia, także (a może przede wszystkim!) w prawdy rzekomo ostateczne i nienaruszalne, wmurowane w owieczne cokoły dogmatów. Dostrzega to także Autor w wierszu „wpisuję się”:

*umieram z każdą napisaną książką
kończą się we mnie idee toposy
uciekam przed powtarzalnością myśli
z uporem rozkopuję i modernizuję
autobiograficzne wersy*

*wracam z nowymi prawdami
wpisując się w życie po życiu
niby ten sam a jednak zupełnie inny
by zmartwychwstać nowym wierszem*

Cóż zatem robi prawdziwy mistrz? W wierszu „poranek mistrza”: *mistrz otwiera oczy i ziewa. Rozpamiętuje bosa spacer po rosie / wieczorne łaskotanie traw [...] i to pytanie które padło o północy / jak to jest być człowiekiem / dzisiaj mistrz będzie uczył się tego od nowa – wciąż i wciąż, by wreszcie pojąć, że samopoznanie to nie wielkie spiżowe prawdy na porzeczne ze złota, lecz przyziemne, codzienne i jedynie warte uwagi „tu i teraz”.* Zajrzyjmy do kolejnego wiersza, by się o tym przekonać: *ja szarlatan / próbuję zagarnąć / przeciekające chwile / i radość marnotrawienia / zachłannie żongluję sekundami / beczelnie nadaję tempo godzinom.*

Prostota życia to wartość, którą Autor zdaje się doceniać najbardziej i do której mu najbliższe: *kręte korytarze w głowie / zmieniam w proste drogi / takimi były od zawsze („dmuchawiec”), bo przecież szczęście – to sztuka (od)puszczania. Prawdziwą i jedynie wartą uwagi sztuką życia jest umiejętność cieszenia się codziennością, a więc zwykłymi, drobnymi radościami: wnikać w podłogę płomień / muzykę deszczu nocą / zbieram doznania /*

nakarmię nimi młode drzewa / gdy dojrzeją same spadną / by przechodnie mogli pozbierać owoce.

Kim zatem, według Autora, jest Budda i czemu w istocie jest biały, jak głosi tytuł tomu? A przecież to Ty, Czytelniku – jesteś swoim własnym Buddą, początkiem i końcem wszystkiego, a zarazem bez początku i bez końca – *uśłyszałem siebie / stałem się świętynią.* Wiersze tworzą harmonijną opowieść o duchowym dojrzewaniu; są naszym lustrem, snem o człowieku, który, budząc się, odnajduje w sobie Mistrza, Boga, Buddę. A biel? Cóż, to symbol symboli – na białej kartce papieru, która jest naszym istnieniem, można napisać wszystko. Czy będzie to opowieść pełna miłości i dobroci, wielki moralitet, czy też historia odrażająca i groźna? To już zależy od piszącego, a Budda jest tu jedynie pretekstem.

*przestrzeń to biała kartka
zaczepiona o krawędzie bytu
z niej rodzi się cisza
a myśl ma swój początek*

W podobnym tonie, lecz z jeszcze większą intensywnością symboliczną, brzmi wiersz „powrót tygrysa”. Jest to utwór o wyraznie mistycznym, niemal szamańskim uroku, który można uznać za poetycką apoteozę drogi wewnętrznej, tak jak jest ona opisana w całym tomie. Powracający tygrys nie jest już tylko znakiem siły i dzikości, ale metaforą świadomości, która – po długiej i samotnej wędrówce w głąb własnych ciemności, lęków i złudzeń – odradza się jako Byt. W obrazie podróży wewnętrznej „do wnętrza błękitnego oka” i „do wnętrza swojego odbicia” odnajdujemy słynny buddyjski wgląd, ale też archetypiczną (mitologiczną) przypowieść o śmierci i odrodzeniu. Wspólnie z tygrysem zstępujemy wtedy w podziemne komnaty, w „strumienie szeolu”, gdzie, w konfrontacji z własnym cieniem, doświadcza on przemiany, która daje mu nowe oblicze. Znowu jest tygrysem – z pewnością potężniejszym, ale zarazem bardziej świadomym i współodczuwającym. To właśnie w tej scenie powrotu, w chwili, gdy tygrys „poduszka łap stanowi nowe prawo”, możemy odczytać głębsze przesłanie całego tomu: odbudowa człowieczeństwa nie jest oddalaniem się od świata, ale raczej jego ponownym przyjęciem, z mądrością i pokorą. Symboliczne „odbicie w wodzie” staje się tu znakiem odzyskanej harmonii pomiędzy bytem, a jego obrazem, pomiędzy człowiekiem, a jego istotą. „Powrót tygrysa” to więc nie tylko wizja odkupienia i samopoznania, ale też dyskretne przypomnienie, że prawdziwa wolność rodzi się w momencie, gdy odbicie znów staje się sobą, a tygrys ponownie jest tygrysem.

Niniejsza książka poetycka to dzieło prze-myślane w najdrobniejszym edytorskim detalu; układ i wybór wierszy stanowi spójną całość – nic w tym jednak dziwnego, jako że zbiorek powstał pod uważną redakcją znanej krakowskiej poetki. Filozoficzne i metafizyczne spojrzenie na rzeczywistość, oryginalna narracja i świetny warsztat poetycki – to istotne walory poezji Marcina Kurcucha.

Spośród wszystkich dotychczasowych zbiorów wierszy Autora ten postrzegam nie tylko jako najbardziej osobisty, ale też świadczący o głębokiej duchowej samoświadomości, bez nadużywania tego popularnego terminu. Siegając do własnej przeszłości i niejednokrotnie jakże bolesnych przeżyć, potrafi przekuć niełatwe wspomnienia i emocje w poezję iście podniebnego lotu. Od kilku lat z najwyższą przyjemnością obserwuję artystyczny rozwój tego młodego łódzkiego poety i bez żadnej przesady stwierdzam, że powinien zająć miejsce na ścisłym Parnasie polskiej poezji, bez względu na pokoleniowe i formalne jego podziały.

Rafał Nowocien



„Matczyzna” i Jung

Powieść „Matczyzna” Małgorzaty Żebrowskiej przyciąga naszą uwagę już samym tytułem. Jednak nie ma on zbyt wiele wspólnego z „synczyzną” Gombrowicza. Dzieło Żebrowskiej oscyluje między realizmem a oniryzmem, blisko uniwersalnej tożsamości bohaterów. Oparte jest na analizie ich uczuć i psyche, źródeł ich traum. Nie nawiązuje do narodowych archetypów, tragicznej polskiej historii, jest uniwersalna.

Jak sugeruje tytuł, główne bohaterki to kobiety, istotny jest tu kobiecy punkt widzenia. Najważniejsza z nich, Basia, dziewczyna blisko trzydziestoletnia, córka i wnuczka dwóch pozostałych protagonistek, której aktualne problemy obserwujemy, snuje współczesną narrację w pierwszej osobie. Nawiązując do przeszłości opowieści jej matki Marty i babci Krystyny przekazane są w trzeciej osobie, z pozycji obserwatora, który jednak często wczuwa się w ich psyche, uczucia i problemy. Każdy z rozdziałów nazwany jest imieniem kobiety, o której opowiada, co przy przemianach czasów i miejsc pozwala zachować przejrzystość. Światy ukazane w poszczególnych częściach nakładają się na siebie, są spójne, wydarzenia wpływają jedno na drugie, choć są niedopowiedziane, często niechronologiczne, co pozwala czytelnikowi bawić się w detektywa, poszukiwać brakujących części i składać całość.

Kobieca perspektywa nie oznacza, że widzimy tylko zgryzoty żeńskich bohaterek z ich punktu widzenia, obserwujemy również trudne życie mężczyzn i dzieci w otaczającym świecie. Każda z kobiet mogłaby być uniwersalną everymanką swojego pokolenia. Pokazane są od środka cztery rodziny: Krystyna, jej pierwszy mąż Wicek i drugi Ryszard, jej rodzice Ignacy i Regina. I młodsze pokolenia,

córka Krysi Marta i jej mąż Adam. Jednak ich życie nie zawsze jest sielankowe, często bywa naznaczone traumami. Dla młodej Basi „dom jest babcią, babcia domem” (słowa pochodzą z powieści „Matczyzna” Małgorzaty Żebrowskiej). Powieść zaczyna się od śmierci babci Krystyny, zdarzenie to wyzwała narrację oniryczną. Barbara traci symboliczny „dom”, musi sobie stworzyć nowy. W warstwie realistycznej dziewczyna także ukształtowała coś nowego. Mieszka w Warszawie w swoim mieszkaniu, wyzwoliła się już od rodziców, pracuje w nowoczesnej korporacji, próbuje zbudować nowy związek, ale ma kłopoty ze znalezieniem stałego partnera. Rodzice Basi mieszkali długo w Bartczewie, miasteczku na północ od Olsztyna, blisko rosyjskiej granicy. Dom babci Krysi mieści się we wsi Drężewo, niedaleko Ostrołęki na Kurpiach. Dzieciństwo dziewczyny związane było z tymi dwoma miejscami i te dwa terytoria, i dwa domy nazaczyły trwale jej osobowość.

Trzeba podziwiać realistyczną warstwę powieści i swobodę, z jaką Małgorzata Żebrowska posługuje się gwarą kurpiowską w dialogach z Drężewo, docenić jak prawdziwie ukazała życie w peerelowskiej wsi. Wspaniale weszła w mentalność ludzi z PRL-u od wczesnych lat pięćdziesiątych, pokazała tamtejsze realia, również z małych miasteczek na Warmii. Tak dobre osadzenie w realiach i przejrzystej rzeczywistości tym bardziej pozwala skupić się na kobiecych traumach, odzwierciedlonych również w warstwie onirycznej. Trzy bohaterki doświadczają podobnych bolesnych przeżyć i trudnego życia, gdzie same dźwigają ciężkie kobiece obowiązki, ale niezwykle sny i wizje ma tylko młoda Basia. Są to niecodzienne obrazy przypominające kadry z filmu, jak w swojej narracji zauważa dziewczyna. I rzeczywiście tak jest. Czynią one jej świat bardziej tajemniczym, bliskim realizmowi magicznemu. Pojawiają się sceny z babcią i matką sprzed lat, gdzie Basia wciela się w bliskie im osoby. Bezdomna pijaczka, która ratuje dziewczynę przed napaścią ma twarz Krysi. Pojawiają się też senne kosmary, jak ten z wrzeszczącym niemowlęciem. I kluczowe dla całej powieści sceny, gdzie występuje dziewczynka w czerwonej sukience. Jest to mała Basia, wolna i beztrudna, nawiązanie do jungowskiego archetypu „puella aeterna”, wieczna dziewczynka, wewnętrzne dziecko. Trzeba ją przywrócić do zdrowia i zaopiekować się nią. To zadanie dorosłej Basi, a pomaga jej w tym terapeutka, której dziewczyna opowiada kolejne epizody życia swojego i najbliższych jej kobiet, Marty i Krysi. Opowieść ta może się słusznie kojarzyć czytelnikowi z narracją „Matczyzny”, która też jest swego rodzaju terapią. Małgorzata Żebrowska, jak możemy przeczytać w jej biografii na okładce książki, pasjonuje się zgłębianiem tajemnic ludzkiej psychiki w duchu myśli Carla Gustava Junga.

Podświadomość zbiorowa opisywanej przez Żebrowską społeczności pełna jest stereotypów dotyczących życia kobiet, wzorów wychowania, ról społecznych żon i matek. Narzucane wzory niekoniecznie się potem realizują, co jest źródłem wewnętrznego bólu.

Pierwiastek kobiecy u Junga uosobiony jest poprzez archetyp „Wielkiej Matki”, który może przybierać formy jasne lub ciemne, dobre lub złe, wzbudzające miłość albo strach. Matka Basi Marta cierpi na depresję i często myśli o śmierci. Źródłem tego jest nie tylko brak uwagi ze strony wiecznie imprezującego męża, jego niewystarczająca miłość, ale także trauma związana z zewnętrzną przemocą i odziedziczone urazy. Krysia niezwykle surowo, wymagająco i bez wystarczającej akceptacji traktowała swoje córki, szczególnie Martę. I również sama doświadczyła zewnętrznej przemocy i życia w trudnych małżeństwach. Od żadnej z nich Basia nie otrzymała jakże potrzebnej miłości. Dorosła Barbara nie może zwierzać się Marcie, spotyka ją obojętność i chłód emocjonalny. Mała Basia również była zostawiana sama sobie i skazana na samotność. Babcia szukała ratunku w alkoholu, matka w długotrwałym śnie i izolacji od ludzi. W życiu Basi również pojawia się zewnętrzna przemoc i są te dwa sposoby na odreagowanie, alkohol i przydługi sen. Aż do chwili zrozumienia, że potrzebuje terapii. Trzeba uzdrowić oprócz „wiecznej dziewczynki” także „Wielką Matkę”, przestawić ten archetyp na dobre i właściwe tory. Czy to się uda? Znajdźcie odpowiedź w powieści.



Póki co jest ból, słowo to pojawia się już w drugim zdaniu „Matczyzny”, a „złość, żal i wstyd” na pierwszej stronie. Z resztą „ból” to wyraz bardzo często używany w książce. Formą odreagowania jest płacz, często długotrwały i niekontrolowany. Powieść po mistrzowsku i subtelnie oddaje stany emocjonalne i pozwala utożsamiać się z bohaterkami. Czy nowa Basia, po terapii pokona ból? Czy ułoży sobie życie? Zakończenie jest najbardziej zaskakujące z możliwych i to jest też wartość tej powieści. Zaskakujący happy end? Czy aby na pewno?

Symbole, talizmany i amulety tworzą też realizm magiczny tej powieści i pozwalają

wznieść się ponad psychologię. Krysia w prezencie ślubnym dostaje od matki Reginy bursztynowe korale. Po śmierci babci Basia bierze je ze szkatułki, na pamiątkę. W dzieciństwie bawiła się nimi, tańczyła i śpiewała ku uciechu Krysi: „tańcowała Basiułenka z krasnalami/ Z krasnalami, z wesołymi, kupili jej koraliki aż do ziemi”. (słowa pochodzą z powieści „Matczyzna” Małgorzaty Żebrowskiej).

Potem korale rozpadają się albo zostają celowo przecięte w momencie traumy. „Wewnętrzne dziecko”, dziewczynka w czerwonej sukience i z naprawionymi skrzydłami w magiczny sposób scala naszyjnik. Coś rozsypanego się zrosło. Bursztynowe paciorki porównywane są do łez, do przemijających dni, działają też jak wehikuł czasu i przestrzeni. Są symbolem scalonej i ocalonej jaźni, odrodzonego człowieka. Przemiany i transformacje osobowości są wieczne. Znamienne, że motyw bursztynowych koralików wprowadzony jest jakby między wierszami, nienachalnie, zatapia się w większej narracji, działa bardziej na podświadomość czytelnika.

Powieść Małgorzaty Żebrowskiej jest jedną z najciekawszych ostatnio pozycji wydawniczych. Wnosi świeżość spojrzenia na motywy etnograficzne, psychologiczne, a także transcendentne. Daje lekkość czytania, płynność opowieści, a jednocześnie czytelnik po tej lekturze może długo rozmyślać i analizować skrupulatnie, układając narracyjne puzzle. I tropić prawdę, bo jak w każdej dobrej narracji, pełno tu niedopowiedzeń i domysłów.

Małgorzata Kulisiewicz



Słowa... słowa... słowa...

Skończył się, Panie i Panowie, ten nie-szczesny 2025 dwudziestopierwszowieczny rok. Rok wojen i postępującej debilizacji. Poziom zgłupienia społecznego osiągnął spory procent populacji. Właściwie dotknął każdego czyli w jakimś aspekcie nas wszystkich, bo nie da się przecież uciec czy oderwać od pewnych słów czy narracji, od wizji czy idei, a te mimo wszystko jeszcze istnieją, nie da się odciąć od zwyczajów, rytuałów czy dni w kalendarzu, a swoista całość przesiąknięta jest marnym kabaretem i prostackim jarmarkiem, tudzież zgiełkiem, hucpą i pozorami, i grą interesów grup i koterii wszelakich. Pycha kroczy przed upadkiem, rządzi nierząd i nieumiarkowanie w jedzeniu i picu oraz byciu każdym, nawet tym małym.

(Dokończenie na stronie 20)

Słowa... słowa... słowa...

(Dokończenie ze strony 19)

Jak tu sobie życzyć w tej rzeczywistości, ba, i czegoś tu życzyć, skoro wszystko już mamy?

Jedną z najważniejszych książek jakie otrzymałem i czytałem tego roku jest maleńki acz wielki esej Andrzeja Dębrowskiego „O naturze słowa”. Książka drobna, doniosła i monumentalna, choć zdaje się niewielką. Jest taka lista książek najważniejszych, książek, w której autor wkroczył idealnie w przestrzeń poruszanego zagadnienia, co więcej, w której idealnie oddał przeróżne aspekty tematu, punkty widzenia, postrzegania i oceny, konteksty oraz metodologię zrozumienia. Tak się właśnie stało w eseju „O naturze słowa”. Lektura to obowiązkowa dla każdego pisarza. Każdy rzemieślnik słowa, jeśli chwilami choćby chciałby być też artystą i unieść się „nad wodami” musi zapoznać się z teoretyzowaniem Dębrowskiego i musi podążyć rozważaniami mistrzów, aby pojąć. Cóż takiego? Ano oczywiście oczywistości z pogranicza słów w wymiarach: filozoficznym, metafizycznym, wspólnotowym czy tożsamościowym. Czytając rozważania Dębrowskiego wkracza się myśłami w polemikę, a często w potwierdzenie, nasuwają się komentarze i dopowiedzenia, rodzi się oto na żywo kolejny tekst. Pod tym kątem lektura eseju Dębrowskiego jest dalece zapładniająca, ale i świetnie to napisana rozprawka filozoficzno-egzystencjalna dla nas, dla wszelkiej maści wyrobników słowa, którzy akurat teraz zechcieli i ten tekst przeczytać.

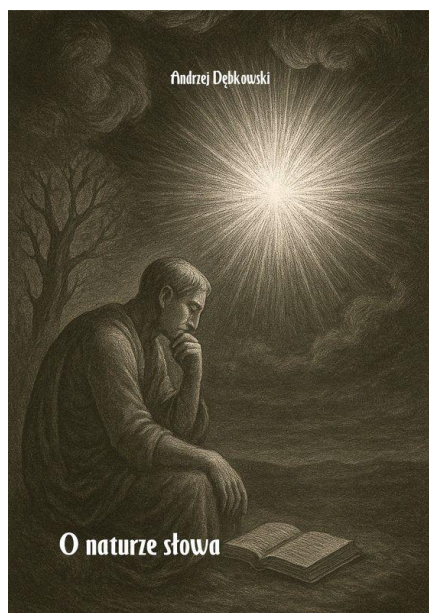
Jaka jest natura słowa?

W dzisiejszym świecie podważona. Poddana w wątpliwość i trwoniona przez szarlatanów, którzy „nie wiedzą co czynią”. W dzisiejszym świecie ufajdana zgiełkiem i nadmiarem, a przecież słowa rodzą się z łaknienia i ciszy. W dzisiejszym świecie natura słowa przestała być czymś ważnym, czymś szalonym, czymś świętym. W świecie, w którym w literaturę zaprzęgnięto politykę i światopogląd, słowa znaczą tyle, ile warta jest ta propaganda je wygłaszająca, i to wszelkiej natury i maści. Wreszcie w świecie, w którym nagradza się cwaniactwo, spryt i merkantylizm, słowa i ich głębia podważone zostały przez doraźność i sukces, cokolwiek by oznaczał. Bo jest to świat, w którym sukces literacki mierzony jest nie wartością słów, ale wartością kont bankowych, wartością dodaną do literackości, szokiem, zaskoczeniem i potęgą marketingu. Książka – produkt, literat – celebryta, słowo już nie staje się ciałem, ale mamoną. Opowieść odwieczna staje się narracją przykuwającą uwagę, która musi konkurować z megaszybkim światem hiperprędkości. Mój Boże, jakie to żałosne.

Tego jednak w książce Dębrowskiego nie znajdziecie. To moje refleksje stałe, łączę bowiem fascynację esejem „O naturze słowa” z

okresem przedświątecznym i noworocznym, który jest czasem zamyśleń i podsumowań, życzeń i planów, serc i sumień, choć te ostatnie sprzedane dziś i załamane. Serc już nie ma, sumień tym bardziej. Liczy się korzyść i znaczenie. Twój *image* na fejsie oraz wizerunek wobec marionetek. Lubię to klikane bezrefleksyjnie przez stada wyhodowane wśród „znajomych” mniej lub bardziej znajomych. Brrrr... sam to czynię, zatem możecie we mnie rzucić kamieniem.

Człowiek, władca słów, trwoni czas w sieci, wklejając zdjęcia bądź treści mające ulepszyć jego wizerunek... Od tego zależy „jego wizerunek”. Nie od ilości przeczytanych książek, nie od ilości zgłębionej treści i wiedzy, nie od tego jak poradził sobie w realnym życiu i świecie, ale od sztucznej kreacji „na intelektualistę” w sieci, popartej tysiącem obrazków nawet obiadów i śniadań, a wkrótce zapewne i wypróżnień. Jak nisko upadliśmy. Człowiek, władca słów. Człowiek stwórca, czy człowiek narzędzie?



Jak pisze Dębrowski mowa jest łaską... a cóż to jest łaska, zapytam? Czyż nasze istnienie samo w sobie nie jest jakąś łaską Wszechświata? Przecież wygląda na to, że tam, tam daleko, we Wszechświecie może przecież nie być żadnego życia, a warunki tam panujące jak wiemy wszelkie życie uniemożliwiają, a tu jeszcze łaska i ... słowa.

Ten esej Dębrowskiego to taki wielki wybuch. Big Bang. Od niego powinna zacząć się entropia rozważań, dyskusji, polemiki, ale się nie zaczyna, z przyczyn jak już na wstępie tego tekstu określiłem, zdebilenia społecznego na skalę ekstremalną, próżna rozprzestrzeniania się swą kosmicznością. Wracamy do Lema czy tego chcemy czy nie, bo żadnego nowego Lema już nie będzie, będzie mróz, wolna miłość i unia marnych perspektyw, będą góry kiepskiej literatury, z których zsuną się lawiny bezsensownych słów. Marność, wszystko to marność. Słowa upadają głośno. Tak jak i głośny ten świat głośno obwieszcza krzykliwe namowy ku nicości. I tego wam nie życzę.

Życzę wam (Wam) zdrowia, na ciebie i duży, wiary (w coś co nas jeszcze spotka wielkiego, miłego, dobrego), nadziei – bo bez niej nie ma słów, no i miłości, bez której to życie na ma żadnego sensu, ale życzę też zrozumienia czym jest ta miłość i jakie ma wymiary i aspekty, a najlepszym prezentem do tych życzeń może być właśnie esej Andrzeja Dębrowskiego „O naturze słowa”. Słowo bowiem według Dębrowskiego jest też dialogiem z milczeniem – rozmową, która nigdy się nie kończy.

W świecie wyjaśnionego milczenia Boga oto takie Boże Narodzenie jest powodem obchodzenia tych świąt, jest epicentrum naszego zabiegania i tego szalonego pędu końca roku, a kiedy już złapiemy oddech przy choince oraz tradycyjnej potrawie, wśród bliższych i dalszych podzielmy się słowem i niech zamieszka szczęśliwie między nami. Taka jest bowiem natura... życia.

Andrzej Walter

Andrzej Dębrowski, *O naturze słowa*. Esaj. Redakcja, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębrowski. Słowo wstępne: prof. Maria Szyszkowska. Zdjęcie na IV stronie okładki: Andrzej Walter. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębrowski, Żelów 2025, s. 64.

Głupie elity?

Wziąłem do ręki styczniowy numer „Gazety Kulturalnej” i, o zgrozo, czytam: „Polskie elity są bezdennie głupie”. Nie mam się za najgorszego Polaka, elitą też nie jestem (?), ale tak czy inaczej zabrzmiało to obrazoburczo. Sprowokowany zagłębiłem się w tekst Andrzeja Waltera.

Kiedy dotarłem do definicji elity zrodziło się pytanie. Czy wymienieni lekarze, prawnicy, naukowcy, prezydenci etc. są elitą, czy raczej być nią powinni? Czy fakt posiadania dyplomu może o tym stanowić? Dziś, gdy zaistniało Collegium Humanum? Dziś kiedy ukończenie studiów zaocznych, bardzo zaocznych, to kwestia pieniędzy? Czy wybory prezydentów, że zacznę od samej góry, burmistrzów i wójtów to naprawdę wybór najlepszego? Trywializując. Czy ten kto pcha się do koryta to elita? Dla mnie to bardziej „elyta”. I tu mogę się zgodzić z tezą tekstu, choć poprawiłbym, ją na – głupieje. Ta „elyta”.

Dalej dochodzimy do pytania dlaczego? Dlaczego, przejmijmy moją wersję- głupieje? Odpowiedź, bo cały świat głupieje jest skądinąd słuszna, choć zbyt prosta. Rzeczywiście sprowadzenie komunikacji do obrazka wraca nas do świata naszych przodków, tych chodzących po drzewach. Nieokiełznany konsumpcjonizm, podstępne, kuszące reklamy, egalitaryzm („wszyscy mamy takie same żółtki”) i wiele innych cywilizacyjnych zaleź-

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (233)



Fot. Andrzej Dębowski

Nie mogąc wykładać w polskich uniwersytetach, profesor Dąbrowski przybliżał swoje poglądy odkrywcze w teatrze Józefa Szajny i Jerzego Grotowskiego. Oczywiście publikował także książki mimo istnienia państwowej cenzury. W tym samym czasie, czyli w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, Jerzy Grotowski odszedł od tradycyjnej formy teatru i jego parateatralne działania pozostawały w harmonii z poglądami Kazimierza Dąbrowskiego. Zainicjował więc powstanie Laboratorium Higieny Psychicznej, którym kierował Kazimierz Dąbrowski. Ośrodek ten znalazł swoje miejsce w Warszawie, w teatrze Wojciecha Siemiona „Stara Prochownia”. Był otwarty dla osób zdrowych ale załamanych, mających problemy z odnalezieniem sensu życia. To współbrzmienie higieny psychicznej i rodzących się idei Teatru Laboratorium przyniosło społeczeństwu wiele korzyści. W dużej mierze mogło dojść do tej sytuacji dzięki temu, że w scentralizowanym systemie państwowym decyzje podejmują nie ludzie przeciętni, przypadkowo wybrani lecz jednostki wybitne. W tym wypadku z pomocą profesorowi przyszła aprobatą ze strony profesora Hołysta.

Prawa Człowieka

Od początku dziejów, filozofowie poszukiwali odpowiedzi na pytanie co jest wyróżnikiem człowieka, na czym polega różnica między człowiekiem a innymi istotami żywymi. W starożytnej Grecji wskazano na **rozum** w który miałby być jedynie wyposażony człowiek. W średniowieczu jako wyróżnik człowieka przyjęto pod wpływem chrześcijaństwa **duchę** nieśmiertelną. Tym samym uznano zwierzęta za istoty gorsze. W epoce renesansu powrócono do sposobu pojmowania tej różnicy w starożytności. W drugiej połowie XIX wieku neokantyści tworząc filozofię kultury uznali, że cechą znaną człowiekowi jest zdolność do **tworzenia kultury**. Tym samym zwierzęta uznano nie tyle za gorsze, co inne. Na przełomie XX i XXI wieku pojawiły się głosy stwierdzające, że właściwością nas wyróżniającą jest **niszczenie środowiska** w

którym żyjemy. Wymienione wyżej poglądy mają w naszych czasach swoich przedstawicieli, funkcjonują równolegle.

Uznanie odmienności człowieka od innych żywych istot, doprowadziło w starożytnej Grecji do poglądu, że jest prawo, które zespolone jest wyłącznie z człowiekiem. Niemal od początku dziejów wyodrębniły się w związku z tym dwa przeciwstawne stanowiska. Jedno z nich, **prawnonaturalne**, wyrażało pogląd, że z istoty człowieka wypływa prawo natury, inaczej naturalne, które nie przysługuje zwierzętom. Teorię tego prawa rozwinął Arystoteles. Podkreślił, że ma ono charakter powszechny, jest niezmiennie i doskonałe. Podstawowa zasada tego prawa brzmi: dobro należy czynić, zła należy unikać. To prawo natury moralne jest hierarchicznie wyższe od prawa stanowionego. Drugie stanowisko, określone potem mianem **pozytywistycznoprawnego**, uznało, że jedynym prawem jest prawo stanowione, a więc negowało istnienie prawa natury.

Stanowisko prawnonaturalne wyraża pogląd w myśl którego człowiek ma pewne prawa niezależne od prawodawców i wymagają one respektowania. Teorie prawa natury pełniły w dziejach doniosłą rolę praktyczną, by powołać jako przykład Wielką Rewolucję Francuską 1789 roku.

W polskiej powojennej literaturze naukowej dyskusje dotyczą głównie tych teorii, które jako źródło tego prawa uznają Boga. Spowodowało to błędne i dość powszechne mniemanie o koniecznym związku wszelkich teorii prawa natury z wiarą religijną. Podkreślałam, że prawo natury nie ma nic wspólnego z prawami przyrody, które dotyczą całego świata przyrody, do którego należy także człowiek. Prawo natury, inaczej naturalne, jest również innym prawem niż stanowione.

Prawo natury począwszy od starożytności aż do 1896 roku było pojmowane jako prawo niezmiennie. W starożytności wskazywano istotę człowieka jako jego źródło. W średniowieczu, pod wpływem chrześcijaństwa, uznano prawo wieczne, inaczej Boga, jako jego źródło. W końcu XIX wieku uznano, iż rozum człowieka stanowi źródło prawa natury, zaś w latach czterdziestych dwudziestego wieku wskazano na godność człowieka. Wcześniej to ostatnie pojęcie nie funkcjonowało – pisano o wartości człowieka.

Istnienia prawa natury nie da się uodowodnić w sposób wykluczający stanowisko przeciwnie. U podstaw koncepcji prawnonaturalnych, począwszy od XVII wieku, zawiera się pogląd, że każdemu człowiekowi jest niezbędny jednakowy zakres wolności. Rodzimy się jako istoty wolne.

Poglądy odrzucające teorie prawa natury to przede wszystkim szkoła analityczna, pozytywizm prawny, szkoła historyczna, marksizm. Nie przesądziły one o zaniknięciu prądów prawnonaturalnych. Drugie odrodzenie teorii prawa natury nastąpiło po ostatniej wojnie światowej. Dziś częściej występuje odwoływanie się do prawa natury pod nazwą praw człowieka.

Prawo natury dotyczy wyłącznie człowieka. Odrodzenie dociekań nad prawem

natury w sposób wzmożony należy interpretować jako rezultat bolesnych doświadczeń. Szukano w prawie natury podstawy dla osądzenia zbrodni hitlerowskich. Odwoływanie się do prawa natury – czyli sprawiedliwości ponadstawowej – nie ustanie dopóki będą przejawy niesprawiedliwości. Zarówno prawa człowieka sformułowane w międzynarodowych deklaracjach, jak i prawo natury to wyraz poczucia, że istnieje sprawiedliwość ponadstawowa, wyższa niż sprawiedliwość zawarta w prawie pozytywnym.

Tradycyjne teorie prawa natury, pojmujące dobro jako wartość absolutną, narzucają społeczeństwu podporządkowanie się jednej z pośród wielu teorii etycznych. W konsekwencji następuje ograniczanie wolności tych obywateli, których światopogląd jest zespolony z inną niż dominująca teorią etyczną.

Głębokie uzasadnienie ma rozdzielenie przez Kanta sfery prawa i sfery moralności, rozwijane potem w inny sposób przez Petrarzyckiego, Kelsena, czy Harta, by poprzestać na tych przykładach. Jednym z warunków demokracji jest właśnie owo rozdzielenie prawa i moralności. Prawo ma wyrównywać obszar wolności obywateli w państwie i następnie gwarantować tę pogodzoną wolność siłą przymusu prawnego. Mając poczucie bezpieczeństwa obywatele mogą, zgodnie z zagwarantowaną wolnością, wybierać jedną z wielu możliwych teorii etycznych. Państwa totalitarne charakteryzuje podporządkowanie wszystkich obywateli jednej, narzuconej przez państwo, teorii etycznej. Prawo stanowione podlega więc moralności w państwie totalitarnym.

W przybliżeniu do lat czterdziestych XX wieku funkcjonowało pojęcie wartości człowieka. Zastąpienie go pojęciem godności człowieka następcą trudność w relacji do zwierząt. Otóż godność przypisuje się tylko człowiekowi i jest o niej mowa w międzynarodowych deklaracjach praw człowieka. Godność nie przysługuje zwierzętom, aczkolwiek wzrastają licznie akty prawne chroniące je przed sadyzmem człowieka. Dodam, że pierwszy głos w obronie zwierząt wyszedł od J.S. Milla, czyli ze środowiska zwolenników liberalizmu ekonomicznego.

Zarówno w teoriach prawa natury, jak i w koncepcji praw człowieka uwikłany jest pogląd w myśl którego wszechwładza państwa jest ograniczana przez prawo wyższe od stanowionego. Zasada prawnonaturalna dobro należy czynić, zła należy unikać, ma ograniczać samowolę prawodawców na równi z koncepcją godności człowieka. Trzeba więc wyraźnie powiedzieć, że świadomość praw człowieka – bez używania tej nazwy – zrodziła się już w starożytności, w postaci teorii głoszących istnienie prawa naturalnego.

Tę samą rolę ograniczania dowolności działań prawodawczych pełni teoria praw człowieka i tradycyjna teoria prawa natury.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(78)

5 lipca 2020

Piękny, słoneczny i ciepły dzień z temperaturą ok. 28 stopni C. Trudno więc nie zaplanować jakiegoś wyjazdu i spaceru, rozrywki na świeżym powietrzu. Byłby to wielki grzech. Jak zwykle po śniadaniu wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy na spacer do lasu, przywołując psom trochę karmy. Kumpel leżał wyciągnięty na drodze i spokojnie czekał. Jak tylko go wezwałem, zaraz do nas przybiegł, by go pogłaskać i towarzyszył nam już później podczas przechadzki. Ludzi o tej porze jeszcze nie było za wiele, ale gdy już wyjeżdżaliśmy z leśniczówki do domu, zaczęły na parking zjeżdżać już zewsząd samochody. Kumpel towarzyszył nam tylko w połowie drogi, potem z niewiadomych powodów wyrwał się i pobiegł do leśniczówki. Może przypominało mu się, że schował niedaleko przy drodze pieczone skrzydełko, które mu dałem od wczorajszych weselników, a które wcześniej nie zdążył skosztować? Zawsze nas co prawda w drodze powrotnej wyprzedza, ale co najwyżej parę minut przed zakończeniem spaceru. Po obiedzie, po 14 przyjechała Patrycja. Mogliśmy spokojnie porozmawiać, także o szkole i jej planach wakacyjnych, bo była sama. Paulinka gości u kuzynów i wujostwa w Lublinie, a Mateusz zabawiał u dziadków swoje kuzynki z Warszawy, Krzysiek zaś, jej mąż, przygotowywał grilla. Niestety, nie trwało to długo, bo już po 15 musiała wyjechać, gdyż miał się niebawem rozpocząć obiad na świeżym powietrzu. Mimo wszystko byłam zadowolony z jej krótkich odwiedzin. Ma jeszcze do nas wpaść w poniedziałek, bo do Tarnowa wracają dopiero we wtorek.

Staszek Szlezyngier ze Stowarzyszenia Mieszkańców Żaczka UJ potwierdził, że dostał fragment moich wspomnień uniwersyteckich „Lidzbark Warmiński” i prosił o więcej. Siadłem więc do komputera i zrobiłem korektę innego rozdziału „Mój Marzec”. Razem będzie prawie 18 stron tekstu. Myślę, że to wystarczy. Czytałem też notatki przysłane przez Cezarego Łukomskiego. I tak zleciał mi dzień, bez deszczu i burz oraz zmotów, jak było do piętku. Prezydencka kampania wyborcza, pełna obelg i inwektyw ze strony urzędującego prezydenta (Dudy) i jego sztabu, po prostu mnie męczy. I wolałbym tego już nie słuchać. Za to z przyjemnością obejrzałem przed obiadem i w trakcie 2 filmy przyrodnicze na TVP 1 – o wędrówkach ptaków i na TVP „Historia” – o dzikiej przyrodzie Afryki.

6 lipca 2020

Piękna słoneczna pogoda wbrew prognozom telewizyjnym. W cieniu temperatura ok. 28 stopni C. Cały czas jestem śpiący, bo w nocy muszę często wstawać do łazienki. Drzemkę przed południem przerwał mi najpierw Cezary Łukomski, z którym rozmawiałem blisko godzinę o jego poszukiwaniach archiwalnych nad

dziejami jego rodziny, a po obiedzie - Patrycja, która postanowiła nas przed obiadem w Pilchowie jeszcze odwiedzić, gdy Mateusz bawił się w najlepsze w ogrodzie dziadków ze swoimi kuzynkami Hanią i Julką z Warszawy. Jutro już niestety Patrycja nie przyjedzie, bo prosto jadą do Tarnowa, ale za to powróci w piątek, by odebrać od wujostwa z Lublina Paulinkę. Przyszło potwierdzenie z biura podróży, że obóz na Malcie, na który Paulinka ma jechać, jest aktualny. Podano nawet termin wyjazdu.

Z przyjemnością czytam esej Serafina Kuryłowicza o historii prawosławia zamieszczony w „Zarysie dziejów religii”. Napisany ciepło, inaczej niż zrobił to Józef Keller o katolicyzmie, który papiestwu i klasztorom nie szczędził ostrych, krytycznych słów, widząc w nich „wcielenie zła”. Na prawosławiu zaciążyło to, że po upadku Bizancjum de facto jego obrońcą stała się Rosja, w której car był głową Kościoła, a hierarchia kościelna jemu podlegała. W Bizancjum także cesarze starali się uzależnić Kościół od siebie, tłumacząc to słowami Chrystusa „co cesarskie oddać cesarzowi”. Od kiedy powstały w XIX wieku wyzwolone z imperium osmańskiego Grecja, Rumunia, Bułgaria, Serbia, Kościoły prawosławne w tych krajach uzyskały autokefalię, podobnie było z takimi krajami jak Polska, które uzyskały niepodległość po 1918 r. Wtedy Kościoły prawosławne także uzyskały autokefalię. Patriarcha ekumeniczny w Konstantynopolu przestał już pełnić rolę głowy Kościoła prawosławnego, tym bardziej że kler rosyjski czy ukraiński, który znalazł się poza granicami kraju po rewolucji bolszewickiej, też założył na emigracji Kościoły autokefaliczne, które istnieją do dziś z własną organizacją życia religijnego i własnymi uczelniami, kształcącymi duchownych prawosławnych w tych krajach.

Podczas obiadu oglądałem w telewizji francuski film przyrodniczy o życiu dzikich zwierząt na polach uprawnych. Przed wieczorem, kiedy już zelał upał, pojechałem rowerem do garażu i wsiałem do malucha, by się nim przejechać do Charzewic. Niestety, zaczął wiać silny wiatr, na niebie pojawiły się ciemne chmury i złąłem się burzy. Skończyło się wszystko tylko na małej przejażdżce. Nie oglądałem natomiast żadnego ze spotkań wyborczych kandydatów na prezydenta, bo są nudne i mówi się na nich to samo. To tylko wszystko płonne obietnice, szczególnie te pieniężne. Żaden prezydent nie ma takich uprawnień, by rozdawać pieniądze. Jestem tylko za tym, by nastąpił podział władzy na wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą. Nie może być dalej skoncentrowana w rękach jednej partii jak obecnie. To szkodliwe dla demokracji. Dobitym przykładem jest zawłaszczenie przez PiS telewizji i mediów publicznych. A przecież Kaczyński zamierzał także przymusowo wykupić TVN i chyba nawet Polsat, a także prasę, której część należy do Springera. Odstąpił od tego zamiaru dopiero po protestach m.in. ambasador Mosbacher.

7 lipca 2020

Dziś choć chłodno, to też od rana piękna, słoneczna pogoda, jakkolwiek zapowiadano co innego. O 18 wybrałem się nawet na godzinę

rowerem do Charzewic, bo nie byłam tam blisko rok, tak mi się przynajmniej wydaje. Chciałem odnowić sobie tamtejsze widoki. Nadal nie jestem jednak zbyt sprawny i pewny siebie, czuję jeszcze pozostałości lumbago w moich nogach. Ale za to jechałem wolno i cały czas hamując pedałami, by rower nie nabrał zbyt dużej szybkości. Chodziło o to, bym w każdej chwili mógł się zatrzymać i zejść z roweru.

W południe podczas obiadu oglądałem filmy przyrodnicze na TVP z cyklu „Cudowny świat przyrody”. Jeden pokazywał życie jaguarów na rozlewiskach błotnych (pantanal) w Brazylii, drugi zaś - życie wydr w rzekach i sztucznych zbiornikach wodnych w Europie i Korei Południowej. Piękne.

W mediach trwa kampania wyborcza obu kandydatów na prezydenta. Zerkam czasami na to, co mówią, ale tylko zerkam. Nic więcej. Mam do wszystkiego dość chłodny stosunek. I trudno, abym, po tym co w życiu przeszedłem, go nie miał. I pamięć mnie też nie zawodzi. I doświadczenie.

8 lipca 2020

Dziś wybrałem się przed południem moim maluchem do Charzewic do parku. Była piękna słoneczna pogoda, ciepło, choć parę stopni mniej niż wczoraj. Halinka miała jakieś załatwienia, więc jej spaceru nie proponowałem. Pojechałem sam. W parku nie było ludzi, bo to godziny przedpołudniowe. Za to spokój i cisza, jak nigdy. Czasami przeleciał tylko między drzewami jakiś ptak. Nie chodziłem zbyt długo, bo chciałem przed pierwszą być w domu. Przeszedłem się aleją dębową i ścieżką między dawnymi szklarniami i polem PGO, już sprzedanym przed parą laty jakiemuś farmerowi, podpierając się laską zrobioną ze starego parasola. Tak mi się łatwiej poruszać. Oczywiście, szklarnie nadal niszczeją. To już całkowita ruina. Gdyby były własnością prywatną, to ktoś już dawno by je zagospodarował, podobnie jak zdziczały sad po PGO. Ale ponieważ należy do agencji, nikogo to nie obchodzi. Państwowe czyli niczyje. Tak było w PRL-u, tak jest obecnie. Kiedy wróciłem, Halinka była już w domu i pichciła obiad. W TVP zaczęły się filmy z cyklu „Cudowny świat przyrody” – jeden o koczokodanach w Afryce, a drugi – o kukangu jawańskim, drapieżniku, należącym do naczelników, lecz mierzącym zaledwie 30 cm, żyjącym w Indonezji na drzewach, polującym nocą na owady, ptaki czy nietoperze. Po południu już nigdzie nie wychodziłem, pogoda się popsuła, niebo się zachmurzyło, popadał drobny deszcz. W mediach cały czas o tym samym: o wyborach i błędach kandydatów. Co by było, gdyby TVN nie wspierała kandydata opozycji? Po prostu nie byłoby opozycji, działałaby co najwyżej w konspiracji. W jaki sposób wygrać wybory demokratycznie i potem rozprawić się z opozycją pokazał nie kto inny ale Adolf Hitler.

cdn.

Miroslaw Osowski

POEZJA

Renata Adamska-Garbowska, *Gotowanie*. Korekta: Katarzyna Kusojć. Projekt okładki: Lizaveta Dubinchyna. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2025, s. 72.

Grzegorz Bazylak, *Wiralobranie*. Redakcja: Zbigniew Joachimiak. Projekt okładki: FŚL. Seria *Literatura XXI wieku. Polska Poezja Współczesna*. Wydawca: Fundacja Światło Literatury. Migotania, Gdańsk 2026, s. 88.

Zdzisława Górka, *Nieskończoność chwili. Wiersze z lat 2022-2025*. Redakcja: Zdzisława Górka. Korekta: Filip Szałasek. Projekt typograficzny i projekt okładki: Agata Zahuta. Fotografia na okładce: Jolanta Augustynek. Słowa wstępne: Robert Godek oraz Mirosław Czarnik. Wydawnictwo AGAZAH. Agata Zahuta, Krosno 2025, s. 140.

Waldemar Andrzej Hładki, *Wyczerpane Słowa. Wiersze. Trzydzieści pięć wierszy na moje trzydziestopięciolecie w Unii Polskich Pisarzy Lekarzy*. Słowo wstępne: Andrzej Dębowski. Opracowanie redakcyjne, projekt okładki i korekta: Waldemar Andrzej Hładki. Ilustracje: Krzysztof Kozłowski – przy użyciu programu sztucznej inteligencji Dream by Wembo.ai. Wydawca: Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, Kraków 2025, s. 80.

Księdzu profesorowi Józefowi Tischnerowi. Wiersze na odejście. Antologia tekstów. Redakcja i słowo wiążące: Anna Mlekodaj. Wydawca: Stowarzyszenie – Drogami Tischnera, Łopuszna 2025, s. 104.

Małgorzata Kulisiewicz, *Sennik Hoppera. Hopper's Dream Book*. Tłumaczenie: Anna Luberda-Kowal. Wydawnictwo Fundacja Duży Format, Warszawa 2025, s. 133.

Grzegorz Pełczyński, *Koty Doroty*. Korekta: Ewa Karabanowicz. Grafika: Agnieszka Krudysz. Projekt i opracowanie okładki: Wiktor Matuła, z wykorzystaniem obrazu Agnieszki Krydysz. Wydawnictwo Abilion, Rzeszów 2025, s. 88.

Artur Szczesny, *Warstwy*. Redakcja: Maria Duszka. Ilustracje: Joanna Rusin-Fijak. Projekt graficzny: Anna Skowrońska. Wydawnictwo Veridian, Warszawa 2025, s. 92.

Jan Stępień, *Wyspa tańczących kotów*. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemiński. Opracowanie graficzne: Iwona Polańska. Grafiki: Jan Stępień. Korekta: Grzegorz Bogucki. Wydawca: Wydawnictwo „Kto jest Kim”, Warszawa 2025, s. 62.

Marek Wawrzekiewicz, *Wiersze wybrane*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Redaktor techniczny: Krystyna Samsel. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wybór wierszy i pierwszy wstęp: Andrzej Wołoszewicz. Drugi wstęp: Andrzej Walter. Słowo o twórczości autora: Jan Pieśczechowicz, Ja-

dwiga Zacharska, Leszek Żuliński, Marian Kisiel, Andrzej Zieniewicz. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2025, s. 402.

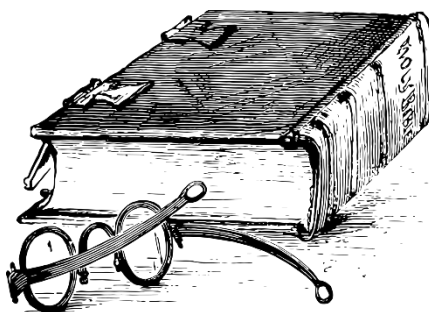
Marek Wołyński, *LEP*. Korekta: Katarzyna Kusojć. Z cyklu: Biblioteka Liry-Dram. Wydawnictwo VERIDIA, Warszawa 2025, s. 48.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Pierre Aubé, *Św. Bernard z Clairvaux*. Przełożył: Łukasz Maślanka. Redaktor prowadzący: Michał Karpowicz. Redakcja: Magdalena Pluta. Korekta: Anna Dorota Kamińska. Imdeks: Radosław Kierełowicz vel Kieryłowicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, dodruk 2025, s. 822.

Hugh Kennedy, *Zamki krzyżowców*. Tłumaczenie i redakcja: Konrad Ziółkowski. Korekta: Dariusz Marszałek. Wydawnictwo Napoleon V, Oświęcim 2015, s. 258.

Artur Nowak, *Kuria*. Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz. Zdjęcia na okładce: ©Your Choice / Adobe Stock, ©Tatiana / Adobe Stock. Redaktor inicjujący: Michał Nalewski. Redakcja: Renat Bubrowiecka. Korekta: Katarzyna Kusojć, Bożena Hulewicz. Wydawca: Prószyński Media Sp. z o.o., Warszawa 2026, s. 216.



Juliusz Wątroba

W słońcu

Przeżyłem już swoje
i czyjeś życie
Widziałem zbyt wiele
Słyszałem zbyt głośno
Cierpiełem za dużo
więc teraz
już pora odpocząć
kiedy oczy ślepną
uszy coraz głuchsze
a czerwień zamienia się
w szarość

Taka kolej rzeczy
– wciąż wolniejsza jazda
Krocзки coraz mniejsze
– czas by w słońcu stanąć

W sam raz

Nie boskie
Nie – bieskie
Nie anielskie
tylko takie ludzkie
skrojone w sam raz
na wymiar serca

Życie moje

Motył

Utkany
z wrażliwości
z błękitu
i z tęsknoty
na pastwę bólu
drwin i zniewag
jak niepotrzebny
szary motyl
co w środku piekła
pragnie nieba

Życie

Wirowanie światłocieni
zakrętów odmetów
zagmatwań

W nim ludzie
– kaskaderzy nad przepaścią
stapający po kruchym lodzie
uciekający spod wiszącej grani
roześmiani nadziejami
zwątpieniami zapłakani

Wyścig

Biegnę w niespełnienia

Czołgam się w doskonałość
zanurzony w czasie na całość
na (prze)życie
na czekanie wieczności świetlistej
przed którą drzę jak na wietrze
mimozy listek
płynę w bliźniaczych istnieniach tłumie
darmo próbując sens życia
zrozumieć

Moje kobiety

Tyle we mnie kobiet
namalowanych
na plakacie
serca

Każda mi coś dała
i zabrała
ale są – już na zawsze –
pochwycone
w siateczkę pragnień
i zmarszczek

Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach

(10)

„Jeśli złapie człek takiego,
co buszuje w zbożu...”

Prędzej czy później musiało do tego dojść. Zakładam, wręcz niezachwianie wierzę, że wszyscy, którzy czytają moje refleksje w cyklu „Buszujący w antykwariatach” wiedzą skąd zaczerpnąłem tytuł lekko go parafrazując. To oczywista oczywistość (że nawiąże do słów znanego polityka), że chodzi o powieść J.D. Salingera „Buszujący w zbożu”. Jeżeli, w co wątpię, ktoś jeszcze nie przeczytał tej powieści, to chciałbym rozwiać wszelkie obawy co do treści tej książki. Fabuła nie toczy się gdzieś w zapomnianej przez Boga farmie w Pensylwanii czy Oklahomie, lecz w Nowym Jorku. Narratorem jest szesnastoletni chłopak z dobrego domu, Holden Caulfield, który zmienia szkoły niczym przysłowiowe rękawiczki. Poznajemy go kiedy wyrzucony jest z czwartego, naszego odpowiednika liceum, i nie za bardzo uśmiecha mu się powrót do domu, gdyż jak obawia się jego młodsza siostra Phoebe, ojciec który jest adwokatem na pewno go zabije.

Jerome Dawid Salinger wydał tę książkę w 1951 roku mając 32 lata, ale powieść jest napisana jedynym językiem nastolatka ze wszystkimi jego niedoskonałościami i jakbyśmy dzisiaj powiedzieli młodzieżowym slangiem. Holden jako narrator rozmawia z czytelnikiem, opisuje wszystko jakbyśmy siedzieli przy ognisku jak starzy kumple, pijąc piwo, które w USA (nie wiadomo dlaczego, skoro do armii można wstąpić mając lat 17, a w związek małżeński mając 18) sprzedaje się po 21. roku życia, zresztą jak wszystkie inne alkohole. Chłopak ma ponad 1,80 cm wzrostu więc w większości przypadków nie ma problemu z zakupem whisky z lodem, jeżeli zaś trafi na upierdliwego barmana to zamawia colę z lodem, czasem prosząc o nalanie do niej trochę rumu.

Chłopak oprowadza nas po powojennym Nowym Jorku z dokładnym opisem jego topografii, często odchodząc od głównego wątku, o czym też jest mowa w książce, dzięki czemu poznajemy szeroki krąg jego znajomych i spraw z tym wątkami związanych jak choćby aktorów i muzyków którzy w latach 40-tych byli na topie, a niektórych z nich znamy do dzisiaj. Zaznaczam od razu, że nie jest to powieść szkatułkowa.

Tak jak Holden buszuje po Nowym Jorku tak pozwala nam buszować po swojej pamięci i osobowości, a jest po czym buszować, i tak dalej.

A więc skąd to cholery te zboże w Nowym Jorku? Pewnego razu w trakcie swojej włóczęgi w okolicach Central Parku Holden podśluchuje chłopca idącego ulicą przy krawężniku chodnika, po którym idzie jego mama, nucącego sobie pod nosem jakąś piosenkę ze słowami: „Jeśli złapie człek takiego co buszuje w zbożu”.

Słowa tej przyspiewki stają się wręcz dla Holdena nowojorską mantrą, do tego stopnia, że kiedy spotyka się ukradkiem w swoim rodzinnym domu ze swoją młodszą siostrą zaczyna to mantrować, pytając, czy zna taką piosenkę. Smarkuła, jak ją nazywa Holden nie tylko ją zna, zna również jej autora, szkockiego poetę i narodowego wieszczą Roberta Burnsa, nie omieszka też poprawić brata, który został po raz czwarty wylany z „budy”, że poprawny tekst brzmi: „Jeśli spotka człek takiego, co buszuje w zbożu”. Co zupełnie zmienia sens przyspiewki.

Nie zdradzę zakończenia powieści, tak, jak praktycznie nie zdradziłem (zbytnio) fabuły książki. Napiszę jeszcze tylko o tym, że w 1949 roku zostało przeniesione do kin jedno z opowiadań Salinger, który nie był autorem scenariusza, a film otrzymał miażdżące recenzje, zarówno od krytyków jak i widzów co spowodowało niechęć Salinger, do Hollywood, a propos Hollywood na kartach książki pojawia się starszy brat Holdena wymieniony jedynie z inicjałów, który będąc świetnym pisarzem sprzedał się za 30 srebrników tej bandzie z fabryki snów, co nie przysporzyło mu dobrej prasy w rodzinie ani wśród znajomych. Ta postać to echo wielkiej rany zadanej przez Hollywood która nie mogła zabić się do końca życia autora „Buszującego w zbożu” Spadkobiercy spuścizny po Salingerze dotrzymują danej obietnicy, chociaż słychać już że jakby z roku na rok miękli.

Dodam jeszcze że polskie wydanie tej powieści nałożyło się z rokiem urodzin naczelnego „Gazety Kulturalnej”.

Przypadek?



Głupie elity?

(Dokończenie ze strony 20)

ności, prowadzi nas do wyrażania gatunku (coraz więcej ludzi, coraz mniej człowieka).

Ale czy ogólnoludzkie argumenty są wystarczające by zdiagnozować ogłupienie? Czy większość, jak pisze autor, „musi pochłonąć elity”?

Mogę się zgodzić na kierunek zmian, ale nie na „musi”. Zgodzę się jednak ze stwierdzeniem, że sami to sobie robimy. Bo któż inny? Niemcy? Rosjanie? A może Marsjanie? Zostawmy to. Słów parę o wymaganiach. Problem zaczyna się w szkole. Wielokrotnie poprawy ocen, presja by hołubić każdego, bo za nim idą pieniądze subwencji. Obniżanie wymagań do ostatecznej próby nauczyciela „daj mi szansę, przyjdź i napisz” mówią same za siebie. Co prawda późniejsza praca stawia wiele wymagań, ale i rodzi frustracje. Chcąc je okiełznać młody człowiek przystosowuje się. Motywem są pieniądze. Tylko czy wzór Muska, Zuckerberga czy innego współczesnego Rockefellera pozwolą znaleźć się w elicie? A jeśli, to cóż to za elita? W jednej chwili, za kliknięciem na klawiaturze jest, raptem nie ma. Rozróżnijmy więc rzekomą „elity” od elity. Wyznacznikiem jest jakość. Jakość pracy, osobowości, postawy lekarza, prawnika wójta i prezydenta. Niestety, trudno o miarę jakości w odniesieniu do Polski, trudno bo łatwo trafić na zdewaluowany towar.

Natomiast ja mam prawo do mojego subiektywnego wyboru (politykę pominę bo... po co ją trzymać). Autorytety składające się na bliską mi elitę to mój wychowawca i polonista ze szkoły średniej, koleżanka archeolog i podróżnik, pewien leśnik, artysta plastyk znany z obłej kreski, że wymienię tylko kilka osób. Tych się trzymam. Wreszcie, twórcy i redaktorzy „Gazety kulturalnej”, w co nie wypada wątpić. Są i dalsze, nazwijmy to, krajowe elity. Tych wymienić nie będę. Nie ma wśród nich na pewno łasych na poklask celebrytów różnej maści.

Czy większość wchłonie elity? Dotychczasowe doświadczenia ludzkości tego nie wróżą. Większość potrzebuje elit, potrzebuje by wiedzieć w którą stronę iść. Zresztą, rzadko mają rację ci, którzy mają ją tylko dlatego, że jest ich więcej. Dbajmy więc o elity, twórcy poziome struktury rozumnych ludzi jakości.

Nie odniosłem się do wielu zdań autora tekstu. Zaciemniłoby to mój wywód, a nie chciałbym błądzić wśród jego słów. Zapytał mnie, czytelnika, o moje zdanie, no to ma czego chciał.

Janusz Ziarnik

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – Andrzej Dębkowski.

Współpraca: prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl